NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 8 kwietnia 1911. Nr. 14.

Napad na pociąg.

(Treść na str. 2).



Napad na pociąg.

(Do illustracyi tytułowej.)

Bandytyzm, który od szeregu lat jest plagą i zakałą Królestwa Polskiego, bynajmniej nie ustaje. Raz po raz powtarzają się śmiałe i pomysłowe napady rabunkowe. W ostatnich czasach często zdarzają się zamachy zorganizowanych band zbrodniarzy na pociągi. Przed dwoma tygodniami udało się policyi udaremnić jeden taki zamach, przyczem w jej ręce dostało się kilku niebezpiecznych ptaszków. Szczęśliwsi byli bandyci, którzy w ubiegłą środę dokonali napadu na pociąg kolei warszawsko-wiedeńskiej koło Częstochowy.

Między stacyami Widzowem i Kłomnicami zatrzymano nagle pociąg za pomocą hamulca automatycznego. Równocześnie wyskoczyło na tor kilkunastu ludzi, zbrojnych w karabinki mauzerowskie i browningi. Dwaj z nich poskoczyli ku lokomotywie i czuwali nad maszynistą, ażeby nie ruszył, pozostali wymierzyli lufy mauzerów w okna wagonów, wołając groźnie: „Nie wyłazić!“ Kilku udało się do brankardu i zażądali tam oddania wiezionych pieniędzy. Była to suma około 100 tysięcy rubli, przeznaczona na pensye urzędników kolejowych, a umieszczona w kilkunastu żelaznych kasetkach. Zabrawszy je, napisali bandyci formalne pokwitowanie opiewające: „Te pieniądze zostały skonfiskowane przez nasz zarząd“. Ciekawy ten dokument zdobi czerwona pieczątka z czaszką i dwoma skrzyżowanymi piszczelami oraz napisem: Grupa pra rewolucyjna mścicieli.

Tymczasem pośród pasażerów pociągu zapanowała trwoga. Widziano gotowe do strzałów karabinki i browningi, to też nikt nie odważył się ruszyć. Tylko w chwili pierwszego przerażenia wyskoczyła z wagonu jedna kobieta, do której natychmiast strzelił jeden z rabusiów, raniąc ją lekko. Prócz tego zranili oni trzema kulami pewnego obywatela wiejskiego, który w chwili zatrzymania pociągu szedł był kurytarzem, a na wezwanie, by się zatrzymał, straciwszy zupełnie głowę, odpowiedział kilku wyjąkanemi z drżeniem słowami tłómaczenia i postąpił parę kroków naprzód.

Napastnicy, dokonawszy rabunku, znikli szybko w lesie, a pociąg ruszył w dalszą drogę. Na dworcu w Częstochowie otoczyła go policya, która przeprowadziła rewizyę osobistą u wszystkich podróżnych, ale nic podejrzanego nie znalazła. Natychmiast też wysłano w pogoń za złoczyńcami oddział straży ziemskiej, który znalazł 4 kasetki nie tknięte, 5 próżnych i paręset rubli w złocie i srebrze, rozsypanych na leśnej polance. Na ślad bandytów jednak wpaść nie zdołano, wyprawiono więc na poszukiwania jeszcze szwadron huzarów.

Raniony przez złoczyńców pasażer nazywa się Rakowski, liczy lat pięćdziesiąt trzy. Stan jego jest prawie beznadziejny. Strata poniesiona przez kolej jeszcze nie jest dokładnie obliczona, wynosi zaś w przybliżeniu 80–100 tysięcy rubli.



Rozwiązanie parlamentu: Prezydyum rozwiązanej izby posłów: (od lewej ku prawej) pp. Pogacznik, dr. Pattai, dr. Starzyński i Steinwender.

Rozwiązanie parlamentu.

Pierwszy parlament ludowy, jak nazywano austryacką izbę posłów, wybraną na podstawie po-



Tyfus plamisty w Krakowie: Straż przy nawiedzonym zarazą domu obok dzielnicy Nowowiejskiej.

...nego głosowania, zawiódł niestety pokładane w sobie nadzieje. Olbrzymie rzesze wyborców, którzy obiecywali sobie bardzo wiele na podstawie szumnych programów kandydatów i mieli nadzieję, że zaprowadzenie powszechnego głosowania stworzy raj na ziemi, a przynajmniej nową erę w dziejach ludów



Rozwiązanie parlamentu: Prezydent gabinetu dr. Ryszard bar. Bienerth.

w tej „ludowej“ radzie państwa reprezentowanych, rozczarowali się mocno i gorzko.

Izba posłów bowiem przedstawiała przez niespełna czteroletni okres swego istnienia obraz ogólnego rozbicia i zupełnego bezhołowia. Wieczne walki i spory narodowościowe zajmowały przedewszystkiem umysły polityków, tak że nie było czasu na obmyślenie sposobów i dróg polepszenia ciężkiej doli najszerszych kół ludności. Cały szereg doniosłych i niezmiernie spraw zalegał do ostatnich dni niezałatwiony, rząd zaś starał się o zdobycie większości, choćby chwilowej, tylko celem uzyskania uchwał dla t. zw. „konieczności państwowych“, nie troszcząc się zbytnio koniecznościami ludowemi.

Nieustanne spory partyjne spowodowały też w ciągu ostatnich paru lat kilka przesileń gabinetowych, za któremi oczywiście następowały zawsze „wymiany mózgów“ na stanowiskach ministeryalnych.

Jedynie szef rządu, bar. Bienerth, zdołał przez długi czas przetrwać nieustanne ataki i obecnie, kiedy groził znowu konflikt między izbą posłów a rządem, zdecydował się na krok ostateczny t. j. na rozwiązanie parlamentu, spodziewając się zapewne, iż nowa izba posłów będzie chętniejsza do pracy.

Nadzieja to atoli bardzo wątpliwej wartości, zdaje się też, że nowa izba posłów nie wiele się będzie różnić od swej poprzedniczki. To natomiast pewne, że na razie żyjemy pod znakiem § 14, który zastępuje rządy parlamentarne.

Nowa izba będzie się mogła zebrać dopiero w lipcu, gdyż wybory zostały wyznaczone na połowę czerwca.

Tyfus plamisty w Krakowie.

Tyfus plamisty, czyli wysypkowy lub osutkowy, jest może najniebezpieczniejszą chorobą zaraźliwą, trapiącą nasze społeczeństwo. Występuje najczęściej w postaci pandemii i epidemii, niekiedy nawet endemii, dość często zwłaszcza w Galicyi spotyka się także i sporadyczne wypadki. Warunki społeczne odgrywają wielką rolę w szerzeniu się tej zabójczej słabości, którą słusznie nazywają „chorobą proletaryatu“, pojawia się bowiem najczęściej tam, gdzie jest dużo ludności ubogiej, źle mieszkającej i źle odżywianej.

Należy on do chorób niezmiernie zaraźliwych, zarazek chorobotwórczy przenosi się głównie przez powietrze, także i przez bezpośrednią styczność, również i pośrednio przez rozmaite przedmioty, jak n. p. bieliznę i ubranie chorych. Do objawów chorobowych należą: gorączka, dochodząca odrazu do wysokiego stopnia, a trwająca o dwóch do trzech tygodni, obfita wysypka na tułowiu, obrzmienie śledziony, katar dróg oddechowych, mocny ból głowy, bredzenie, upadek sił, niedomoga serca. Spadek gorączki odbywa się zawsze gwałtownie, *per crisim*, przy obfitych potach. Śmierć następuje prawie z reguły z powodu porażenia serca, procent śmiertelności jest wogóle bardzo duży, zależy jednak wiele od charakteru epidemii, średnio wynosi około 40%. Leczenie jest objawowe. Główną rolę odgrywa tu profilaktyka t. j. zapobieganie szerzeniu się słabości przez natychmiastowe odosobnienie chorych, spalenie ich rzeczy i odkażanie mieszkań.

Przypadek sporadycznego tyfusu zaszedł właśnie w Krakowie obok dzielnicy Nowowiejskiej. Rozszerzeniu się zarazy przeszkodzono dzięki energicznym zarządzeniom lekarza dzielnicowego, dra Józefa Owsińskiego; zapadłych na tyfus pacyentów przewieziono natychmiast na oddział chorób zakaźnych szpitala św. Łazarza, wszystkich zaś mieszkańców domu izolowano zupełnie na przeciąg dwu tygodni, dostarczając im przez ten czas pożywienia na koszt miasta. Dzień i noc czuwa straż, aby nikt nie stykał się z nimi, lekarz odwiedza ich codziennie i bada stan ich zdrowia, jedzenie podaje się im z zewnątrz przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności.

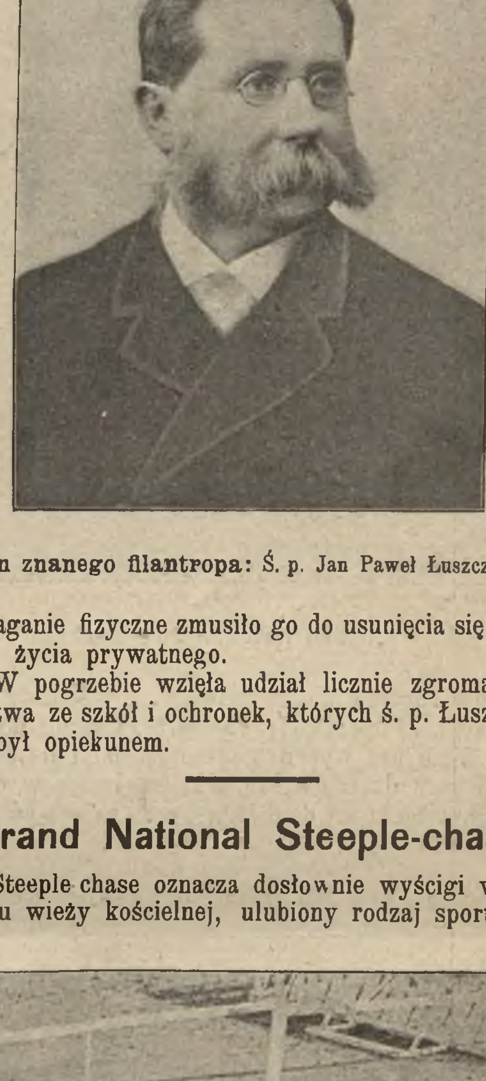
Zarządzenia te dla izolowanych niezbyt przyjemne, konieczne jednak ze względu na dobro publiczne, odniosły też pożądany skutek, nikt z odosobnionych nie zapadł na tę straszną chorobę, rozszerzeniu się zarazy przeszkodzono w samym zarodku.

Zgon znanego filantropa.

Przed kilku dniami zmarł w Warszawie znany i ceniony w jej kołach filantropijnych Jan Paweł Łuszczewski. Pochodził on ze znanego rodu, który dał społeczeństwu kilku wybitnych statystów oraz niepoślednich zdolności poetkę, Jadwigę, znaną powszechnie pod pseudonimem Deotymy.

Ojcem zmarłego był poseł ziemi sochaczewskiej Adam Łuszczewski, który po roku 1831 musiał emigrować do Paryża. Tam też urodził się w r. 1834 ś. p. Jan Paweł. Nauki ukończył w gimnazyum w Poznaniu, poczem poświęcił się rolnictwu i osiadł w Pęcicach w powiecie warszawskim, gdzie przez blisko 30 lat prowadził wzorowe gospodarstwo.

W r. 1890 przeniósł się na stałe do Warszawy i wybrany prezesem tamtejszego Towarzystwa dobroczynności, oddał się niestrudzonej a wydatnej pracy społecznej i filantropijnej. Dopiero silne nie-



Zgon znanego filantropa: Ś. p. Jan Paweł Łuszczewski.

domaganie fizyczne zmusiło go do usunięcia się w zacisze życia prywatnego.

W pogrzebie wzięła udział licznie zgromadzona dziatwa ze szkół i ochronek, których ś. p. Łuszczewski był opiekunem.

„Grand National Steeple-chase“.

Steeple chase oznacza dosłownie wyścigi w kierunku wieży kościelnej, ulubiony rodzaj sportu już



„Grand National Steeple-chase“: Zwycięsca „Glenside“ prowadzony na miejsce startu.

w średniowiecznej Anglii. Obecnie rozumiemy pod tą nazwą wogóle wyścigi z naturalnemi i sztucznemi przeszkodami. Najsławniejszy z takich biegów, znany jako angielskie „Grand National Steeple-chase“, odbywa się corocznie w marcu.

Znany jest fanatyzm sportowy synów Albionu. To też gazety ich są obecnie przepełnione opisami biegu, tem bardziej, że miał on przebieg niezwykły i wynik zupełnie niespodziewany. Z dwudziestu sześciu koni, które stanęły do startu, doszedł do mety z jeźdźcem bez wypadku tylko jeden. Inne pozrzucały swych dżokejów lub pokaleczyły się w drodze i stały niezdolnymi do dalszego udziału w wyścigach.

Tegoroczne przeszkody były wedle opinii znawców znacznie łatwiejsze do przebycia, niż zwykle. Że zaś mimo to nastąpiło ogólne zamięszanie, przypisać należy zdarzeniu się pierwszego wypadku zaraz na początku. Jeden koń z pustem siodłem odrazu przewrócił drugiego i tak poszło dalej. W ten sposób interesujący bieg, którego wyniku niecierpliwie czekała cała Anglia, stał się loteryą. Nie zwyciężył żaden z koni, po których spodziewano się tego, lecz stary, ślepy na jedno oko Glenside, własność niejakiego p. Franka Bibby. Rezultat ten zadał jednocześnie kłam kombinacyom wyjadaczy wyścigowych i rozpowszechnionemu zabobonowi, gdyż Glenside oznaczony był właśnie feralną trzynastką.

Glenside doszedł do mety, ledwie trzymając się na nogach. Później przybyły jeszcze dwa konie, których jeźdźcy pospadali wprawdzie, ale zdołali wsiąść napowrót i w ten sposób zdobyli drugą i trzecią nagrodę.

W stosunku do wielkiej liczby upadków były doznane przez dżokejów stłuczenia i skaleczenia nieznaczne, tylko dwu z nich doznało lekkich obrażeń, jeden wyszedł z urwanem uchem i zranionem ramieniem, drugi zwichnął nogę.

Dajemy trzy illustracye z interesującego biegu, mianowicie ogólny widok powstałego już wkrótce po starcie zamętu, podobiznę zwycięskiego Glenside'a, prowadzonego na tor i konia Rozy O'More w chwili, gdy bez jeźdźca przesadza jedną z przeszkód.



„Grand National Steeple-chase“: Jeden z koni, zrzuciwszy jeźdźca, przesadza przeszkodę.

Kobieta-poseł.

Sufrażystki wszystkich krajów, cieszcie się! W ciele prawodawczem jednego z państw europejskich zasiadła kobieta. Jest to na razie fakt odosobniony i tylko chwilowe zastępstwo, ale stanowi w każdym razie znamienny precedens i może budzić uzasadnione nadzieje w kobietach, żądających czynnego i biernego prawa wyborczego.

Jak wiadomo, posiadały je przez pewien cza kobiety finlandzkie, ale wobec zniesienia samorzą Finlandyi i odebrania jej konstytucyi, utraciły cenn przywilej. Obecnie zaszedł fakt brania przez kobie udziału w obradach parlamentu w Norwegii, gdz ustawa przewiduje możliwość wybrania na pewi przeciąg czasu zastępcy lub zastępczyni posła, jeże choroba lub inne ważne okoliczności przeszkadza mu w osobistem spełnianiu obowiązku. W ten sp sób zasiadła w Storthingu panna Anna Rogstad ja zastępczyni generała Bratliego. Prezydent norw skiego parlamentu przywitał ją uroczystą przemow jako pierwszą kobietę-posła w Norwegii. Panna Ro stad zastępowała Bratliego przez dwa tygodnie.

Pierwszy poseł ludowy na Bukowinie.

Po długich walkach bukowińskiego Koła po skiego i polskich posłów z kuryi większej własnoś o nieprzedawnione prawa ludu polskiego na Buk winie, udało się w niedzielę dnia 2 kwietnia b. objawić wolę naszą narodową przez oddanie głosó wyborczych na pierwszego posła narodowego Sejmu bukowińskiego.

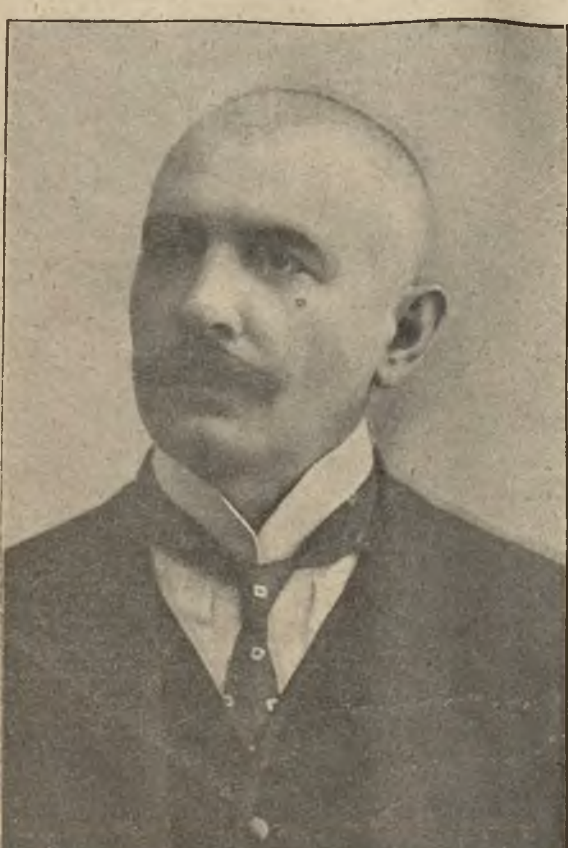
Wyborcy Polacy spełnili swój święty obowiąze głosując solidarnie i jednogłośnie na najgorliwszeg i najwytrwalszego pracownika narodowego dr. St nisława Kwiatkowskiego, prymaryusza szpitala kra prezesa Domu polskiego i Towarzystwa szkoły lud wej w Czerniowcach.

Nowowybrany poseł, człowiek niezłomnego ch rakteru, przejęty żarliwą miłością swego narod odczuwając gorącem sercem niedolę Polaków Bukowinie, szedł zawsze śmiało między lud pols budził duszę polską w piersi robotnika, walc o prawa języka polskiego, tworzył szkoły pols zakładał czytelnie ludowe i organizował polskie k Raiffeisena.

Dr Stanisław Kwiatkowski urodził się w W kowie pod Lwowem w r. 1863, uczęszczał do g nazyum bernardyńskiego we Lwowie, a stopień ktora wszech nauk lekarskich otrzymał na Uniwer sytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Jako operator był zajęty przez cztery lata klinice Billrota we Wiedniu, a rok pracował w Be linie na królewskiej klinice chirurgicznej Bergma

Drugim posłem ludowym z kuryi gmin na Bu winie, zostanie d. 28 kwietnia b. r. wybrany jed głośnie minister kolei dr Stanisław Głąbiński, c szący się zaufaniem całej Polonii bukowińskiej.



Pierwszy poseł ludowy na Bukowinie: Dr. Stanisław Kwiatkowski z Czerniowiec.



„Grand National Steeple-chase“: Początek ogólnego zamętu wśród koni i jeźdźców.

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

19 (Ciąg dalszy).

— Nie przypominam sobie słów — odpowiedziała nareszcie, spuszczając oczy. — Ale pamiętam znaczenie. W tej karteczce prosił mnie, ażebym z nim razem wyjechała z miasta tegoż jeszcze wieczora i pisał, że mamy wziąć ślub zaraz w jakiemś mieście, które nazwał. Pisał, że to będzie najlepszy sposób... zakończenia... całej tej sprawy.

Teraz mr. Fox zerwał się gwałtownie. Choć dobrze umiał nad sobą panować, znać po nim było, że się coraz więcej denerwuje, w miarę, jak się badanie świadka przeciągało; i ciągle jeszcze zrozumieć nie mógł, jaki był zamiar przeciwnika i jakich ma się obawiać rewelacyi. Zwrócony do przewodniczącego, zawołał:

— Te zeznania są niewłaściwe i nie należą do rzeczy. Proszę o wykreślenie ich!

Głos mr. Moffeta, gdy odpowiadał, brzmiał jakby kto miodu nalewał na piołun:

— Nie są one ani niewłaściwe, ani nienależące do rzeczy, ale gdyby nawet, zarzut przychodzi zapóźno. Mój kolega powinien był zakwestyonować samo pytanie.

— Całe prowadzenie obrony było bardzo niezwykłe — zaczął mr. Fox.

— To prawda, ale taką jest sama sprawa. Ta sprawa przez niektóre swoje zawikłania nietylko jest niezwykła, ale wprost do żadnej innej niepodobna. Ażeby ją dobrze zrozumieć i ażeby mój klient mógł być sprawiedliwie osądzonym, nietylko upragnioną, ale konieczną jest pełna znajomość wszystkiego tego, co działo się w gronie rodziny w okresie tych fatalnych godzin. I dlatego proszę, by świadkowi dozwolonem było mówić dalej i opowiadać o sobie ze wszelkimi szczegółami. Nic się tu mówić nie będzie, coby, jak się na końcu pokaże, nie miało związku z stosunkiem klienta mego do tej zbrodni, o którą jest oskarżony.

— Uchylam wniosek prokuratora — oświadczył przewodniczący.

Mr. Fox usiadł i wszyscy, z wyjątkiem Artura i mnie, odetchnęli.

Mr. Moffet dosyć wspaniałomyślny, czy też dyskretny, by rzekomo nie zwracać uwagi na porażkę przeciwnika, podjął ze stołu kawałek papieru i przedłożył go przed oczy świadka.

— Czy poznaje pani to pismo? — zapytał, dając jej do rąk nadpalony mój liścik.

Drgnęła, spojrzawszy. Nie spodziewała się widać nigdy już tego zobaczyć.

— Tak — odpowiedziała po chwili. — To część tej kartki, o której wspomniałem.

— Poznaje ją pani?

— Poznaję.

Oczy jej zatrzymały się na karteczce i pobiegły za nią, gdy ją oddawała.

Mr. Moffet pytał znowu o dalszy bieg rzeczy:

— Co pani następnie zrobiła, miss Cumberland?

— Odpowiedziałam na tę karteczkę.

— Czy wolno mi zapytać o treść odpowiedzi?

— Odmówiłam prośbie pana Ranelagha. Napisałam, że nie mogę uczynić tego, o co mnie prosił i prosiłam, żeby poczekał do następnego dnia, a wtedy dowie się, co ja czuję względem niego i względem Adeli. Tylko tyle. Nie mogłam pisać obszerniej. Cierpiałam bardzo.

— Cierpiała pani duchowo, czy fizycznie?

— Cierpiałam całą duszą. Przeraziłam się zrazu, ale to nie trwało bardzo długo... Niebawem uczułam się szczęśliwą, tak szczęśliwą, jak dawno nie byłam, jak może nigdy nie byłam... Przekonałam się, że kocham siostrę moją więcej, niż samą siebie. I przez to wszystko stało mi się łatwem nawet danie takiej odpowiedzi panu Ranelaghowi.

— Miss Cumberland, jakim sposobem przesłała pani tę odpowiedź panu Ranelaghowi?

— Posłałam ją przez jednego pana, który wyjeżdżał właśnie tym pociągiem, którym pan Ranelagh prosił, żebym ja wyjechała. Ten pan był w gościnie u naszych sąsiadów i ja mu ten list zaniosłam.

— Czy pani to otwarcie zrobiła?

— Nie, niestety nie; wysunęłam się bocznemi drzwiami, o ile możności jak najostrożniej.

— Czy udało się pani zrobić to tak, żeby nikt o tem nie wiedział? Czy wychodząc lub wchodząc, nie spotkała pani nikogo?

— Nie. Adela stała na podejściu schodów, w chwili, kiedy wracałam; stała tam bardzo sztywna i spokojna.

— Czy mówiła co do pani?

— Nie. Popatrzyła tylko na mnie, ale popatrzyła inaczej, niż zwykle. Nigdy nie zapomnę tego jej spojrzenia.

— I co pani wtedy zrobiła?

— Poszłam do swego pokoju.

— Miss Cumberland, czy wszedłszy wtedy, nie spotkała pani jeszcze kogo w sieni?

— Owszem, naszą pokojową, Helenę. Kładła właśnie pęk kluczy na stole w dolnej sieni. Przystanęłam i przyjrzałam się kluczom. Poznałam, że to te same, które nieraz widywałam w ręku pana Ranelagha. Un poszedł, ale to były jego klucze. Jeden z nich otwierał dom klubowy. Zauważyłam go wśród innych, ale nie dotknęłam go wtedy. Helena jeszcze była w sieni, ja zaś pobiegłam na górę, gdzie, jak mówiłam, spotkałam się z siostrą.

— Miss Cumberland, proszę opowiadać dalej. Co pani zrobiła, wróciwszy do pokoju?

— Już nie wiem, co najpierw zrobiłam. Byłam bardzo wzruszona — raz odczuwałam radosne uniesienie, to znowu przygnębienie i strach. Przypuszczam, że musiałam usiąść, gdyż drżałam i słabo mi się robiło. Widok tego klucza przywiódł mi na myśl klub; myślałam i myślałam o tem, jak tam spokojnie i jak daleko i... jak tam zimno i tajemniczo. Pomyślałam, że tam się udam, by spełnić to, co zamierzałam — tam! I wyobraziłam sobie jeden z tych pokoi i księżyc świecący tam i... Ale posłyszałam, że Artur rusza się w swoim pokoju i wtedy zerwałam się i znowu wyszłam do sieni.

Podczas gdy Karmela mówiła, mr. Fox, prokurator, siedział i słuchał, doskonale rozumiejąc, że ma prawo zastrzedz się przeciw tym zeznaniom, mieszającym fakta i uczucia, doskonale też wiedział, że zastrzeżenia jego byłyby podtrzymane. Dawno jednakże już postanowił nie przerywać zeznającej w jej opowiadaniu. Wyraz wystawionej na próbę cierpliwości świadczył o niezadowoleniu, ale też i ograniczył się na tem. Mr. Moffet zrozumiał to i podziękował mu lekkim ukłonem.

Karmela, która wszystkiego tego nie zauważyła, opowiadała dalej:

— Artura pokój leży bliżej mojego, Adeli dalej, ale ja najpierw poszłam do Adeli. Drzwi jej pokoju były zamknięte, a chcąc je otworzyć, przekonałam się, że są zamknięte na klucz. Zawołałam ją po imieniu, powiedziałam, że czuję się zmęczona i że chciałabym powiedzieć jej dobranoc. Nie odpowiedziała zrazu. A gdy się wkońcu odezwała, uważałam, że mówi zmienionym głosem, choć to, co powiedziała, było bardzo zwykłe. Powiedziała, że mam zrobić, jak mi się podoba, że i ona także zaraz się położy. A potem chciała powiedzieć „dobranoc", ale nie dokończyła, jak gdyby jej łzy albo silne wzruszenie głos zatamowały. Nie umiem wypowiedzieć, jak mi się przykro zrobiło... Ale o to teraz nie chodzi. Panom chodzi o to, co ja zrobiłam i co Adela zrobiła. Powiem, tylko nie mogę prędko opowiedzieć. Wszystko, co się działo owego wieczora, wszystko tak pełne było znaczenia. Widzę przed sobą koniec wyraźnie, ale wszystkie kroki, które do tego końca prowadziły, mącą mi się trochę, wspominam je jak przez mgłę...

— Niech pani się nie spieszy, miss Cumberland. My nie naglimy pani.

— Już mogę teraz... Zaraz potem zapukałam do pokoju Artura. Słyszałam, że Artur zabiera się do wyjazdu, a chciałam z nim pomówić, zanim wyjdzie. Usłyszawszy pukanie, otworzył drzwi i wpuścił mnie. Zaczął odrazu roztaczać swoje żale, ale ja nie miałam czasu ich słuchać. Prosiłam go, by założył dla mnie uprząż na siwą klacz i zostawił ją gotową w stajni. Za powód podałam, że muszę koniecznie zobaczyć się zaraz z jedną z moich przyjaciółek i dodałam, że nikt mnie nie pozna w sankach pod baranicą. Nie podobało mu się to, ale ja mu to wyperswadowałam. Uprosiłam go nadto, żeby poczekał, aż Zadok sobie pójdzie, bo wtedy Adela o niczem się nie dowie. Wyglądał niekontent, ale obiecał mi uczynić, o co prosiłam.

Wychodził już, gdy usłyszałam kroki Adeli w przyległym pokoju. To mnie przestraszyło. Sciana jest cienka pomiędzy tymi pokojami, więc przelękłam się, czy ona nie usłyszała czasami, że ja Artura prosiłam o siwkę. Słyszałam, jak przewracała butelki z lekarstwami w szafie, wiszącej na tej właśnie ścianie. Obejrzawszy się na Artura, zapytałam go, jak dawno Adela mogła tam być. Odpowiedział mi: „już dobrą chwilę". Na to ja uciekłam z pokoju. Postanowiłam pó ść do niej i dowiedzieć się, czy też ona usłyszała. Spóźniłam się jednak. W chwili, gdy wychodziłam do sieni, ona znikała za zakrętem, prowadzącym do drzwi jej pokoju. To mnie przekonało, że Adela nic nie słyszała i z lekkiem sercem wróciłam do swego pokoju, gdzie pozbierałam prędko parę drobnych rzeczy, potrzebnych mi w zamierzonej wyprawie.

Zaledwie zdołałam to uczynić, posłyszałam głosy służących na ścieżce za domem, a zaraz potem kroki Artura, który schodził na dół. Nie mogłam oprzeć się chęci zobaczenia go i pomówienia z nim jeszcze raz.

— Arturze — zawołałam — przypatrz mi się, dobrze mi się przypatrz, a potem... ucałuj mnie!

I on pocałował mnie — rada jestem jeszcze teraz, gdy o tem pomyślę — choć zaraz w następnej chwili powiedział:

— Co tobie jest? Co ty chcesz zrobić? Wybierasz się na spotkanie z tym nędznikiem?

Popatrzyłam mu prosto w oczy. Poczekałam, aż dobrze zwrócił na mnie uwagę, a wtedy wyrzekłam bardzo powoli i z wielkim naciskiem:

— Jeżeli masz na myśli Elwooda — to nie! Nigdy go już nie zobaczę, chyba w obecności Adeli. On sam nie będzie chciał mnie widzieć. Co do tego bądź spokojny. Jutro wszystko będzie dobrze, a Adela będzie szczęśliwa!

Artur wzruszył ramionami i sięgnął po płaszcz i kapelusz. Gdy kładł je na siebie, ja rzekłam:

— Nie zapomnij okiełznać Jenny! (Jenny to jest ta siwa klaczka). Ale nie zapomnij zdjąć dzwonków — prosiłam — ja nie chcę, by Adela słyszała, że wyjeżdżam.

Na to on się odwrócił i rzekł:

— Ty i Adela nie bardzo jesteście w zgodzie, zdaje mi się!

— Tak, jak ty i ona — odpowiedziałam. I zarzuciłam mu ręce na szyję.

— Nie wychodź dziś wieczór — prosiłam. — Zostań dzisiaj w domu. Zostań w domu z Adelą. Zostań, aż ja powrócę!

Popatrzył na mnie i zobaczyłam, że się rumieni. A potem odsunął mnie, chociaż nie szorstko.

— A dlaczego ty nie zostajesz? — zapytał. A potem roześmiał się i dodał:

— Pójdę i założę uprząż na siwkę.

— Klucz jest w kuchni — rzekłam — pójdę i przyniosę ci go. Słyszałam, jak go Zadok odnosił.

Nie odpowiedział, a ja poszłam po klucz. Znalazłam dwa na jednym gwoździu i przyniosłam oba, ale podałam mu tylko klucz od stajni.

— Którędy pójdziesz? — zapytałam, gdy spojrzał najpierw na klucz, a potem w stronę kuchni.

— Krótszą drogą, naturalnie.

— To w takim razie masz tu klucz od ogrodu Fultonów.

Gdy brał klucz, zaczęłam znowu prosić:

— Nie rób tego, co chcesz zrobić, Arturze. Nie pij dziś wieczór!

Roześmiał się tylko, a ja jeszcze powiedziałam te ostatnie słowa:

— Jeżeli się upijesz, to będzie to po raz ostatni. Już ty od jutra nigdy nie będziesz pił!

Nie odpowiedział mi na to, a ja powoli wróciłam na górę. Była zupełna cisza, taka śmiertelna cisza, w całym domu. Jeżeli nas Adela usłyszała, to w każdym razie nie zdradziła się z tem. Ja zaś weszłam do swego pokoju i tam czekałam, dopóki nie usłyszałam, że Artur wychodzi ze stajni i odchodzi przez drzwi w granicznym murze. Wtedy dopiero wyszłam po cichu, niosąc w ręku torebkę, ale ani płaszcza, ani kapelusza nie miałam na sobie.

Przystając i nadsłuchując, zeszłam cicho ze schodów i zatrzymałam się przy stoliczku pod wieszadłem. Klucze wciąż jeszcze tam leżały. Włożyłam je do torebki i poszukałam na wieszadle jakiego ciepłego okrycia mojego brata. Nie wzięłam jednakże żadnego z tych, które tam wisiały. Przypomniało mi się jedno stare, które Adela odłożyła i schowała do komórki pod schodami. Tamto wydostałam i włożyłam na siebie, a znalazłszy tam starą czapkę i tę wzięłam także; wcisnąwszy ją nisko na czoło i podniósłszy kołnierz paltota, zmieniłam się nie do poznania.

Już wychodziłam, gdy mi się przypomniało, że w domu klubowym nie będzie światła. Jeszcze na górze włożyłam pudełko zapałek do torebki, ale potrzebowałam też i świecy. Wróciłam więc, zabrałam z jadalnego pokoju lichtarz i świecę, a że to się nie mieściło w torebce, włożyłam do kieszeni paltota i spiesznie wyszłam z domu. Jenny stała w stajni okiełznana i zupełnie gotowa; to też nie namyślając się dłużej, wsiadłam w sanki, nakryłam się baranicą i szybko wyjechałam.

Nastąpiła chwilowa przerwa. Karmela zamilkła i siedziała, rękę przyciskając do serca, zapatrzona nie w przewodniczącego, nie w sędziów, ale gdzieś w dal, prawdopodobnie w tę smutku i grozy pełną scenę, którą w tej chwili, cierpiąc, przeżywała. Głos jej, przedtem tak bogaty i dźwięczny, brzmiał teraz tępo i rozpacznie. Wszystkim słuchającym udzielał się jej nastrój.

Prokurator Fox przerzucał papiery, starając się utrzymać spokój i okazać obojętność, której przeczyły surowe, ale zainteresowane spojrzenia, jakie co chwila rzucał na zeznającą. Czekał, ale oczywiście czekał niespokojnie. Ani on nie wiedział, ani nikt inny zresztą, prócz jednego Moffeta może, dokąd zmierza to opowiadanie. Nie mógł przeszkadzać, o ile trzymała się kolejnego toku opowiadania, jak jej to zapewne obrońca polecił; ale nie mógł też zapobiedz, by delikatny głos jej, obejście jej i niepospolita jej uroda nie czarowały sędziów.

Mr. Moffet, doskonale świadom wrażeń, odnoszonych zarówno przez prokuratora, jak sędziów, ale usiłując nie podkreślać tego, stawił w tem miejscu bardzo zwykłe pytanie, może po części w tym celu, by zamyślonego świadka do przytomności przywołać:

— Czy zamknęła pani drzwi od stajni?

— Nie, zostawiłam je otwarte.

— Czy może nam pani powiedzieć, o której godzinie wyruszyła pani?

— Nie. Nie patrzyłam na zegarek. Mnie to było obojętne. Pojechałam z górki, jak mogłam najprędzej, prosto na dół ku Szumiącym Sosnom. Przejeżdżając pędem koło domu, zobaczyłam w oknie Adelę, ale na drodze nigdzie nie spotkałałam nikogo. Jakiś pociąg gwizdnął, gdym się zatrzymywała w gąszczu drzew koło klubu. Jeżeli to był kuryer, to mogą panowie obliczyć...

— Dosyć, że pani słyszała ten gwizd — przerwał mr. Moffet. — Niech pani mówi dalej, co pani zrobiła.

— Przywiązałam konia, a potem weszłam do domu. Użyłam klucza pana Ranelagha do otworzenia drzwi, poczem wyciągnęłam go z zamku i cały pęk kluczy włożyłam do torebki. Ale jakoś nie zamknęłam drzwi na klucz. Wtedy zapaliłam świecę... i poszłam na górę.

Coraz słabiej padały słowa, coraz wolniej i słabiej oddychała pierś pod naciskającą ją ręką. Mr. Moffet dał znak komuś na sali i zobaczyłem, że dr. Carpenter wstaje i podchodzi do ławy świadków. Ona jednakże nie potrzebowała jego pomocy.

W następnej chwili już zarumieniła się jej twarz; oczy podniosły się, zabłysły i zatrzymały się nakoniec nie na przewodniczącym, nie na sędziach, nie na oskarżonym, ale na mnie. I teraz spokojnie mówiła dalej:

— Jest tam na górze w budynku klubowym pokój, w którym często bywałam z Adelą. Jest w tym pokoju kominek, a dnia poprzedniego widziałam tam koszyk, do połowy napełniony drzewem. Do tego pokoju poszłam i tam rozpaliłam ogień. Gdy się już dobrze rozpalił, wydobyłam coś, co miałam w mojej torebce i włożyłam to w płomienie. A potem wstałam i odeszłam. Ja... ja nie czułam się bardzo silna... to też upadłam na kolana, gdy doszłam do otomany i twarz ukryłam w rękach. Ale lepiej mi już było, gdy wracałam znowu do ognia i czułam się zupełnie odważną, dopóki nie spojrzałam w swoją twarz w zwierciadle nad kominkiem. To... to mnie przeraziło i zdaje mi się, że krzyknęłam. Przynajmniej ktoś krzyknął i myślę, że to ja sama. Wiem, że wyrzuciłam rękami, widziałam to w lustrze; a potem ręce mi opadły i patrzyłam, patrzyłam na siebie, aż przekonałam się, że wszystek strach zeszedł z mojej twarzy; i wtedy dopiero, gdy zobaczyłam, że jestem zupełnie spokojna, nachyliłam się i wyjęłam z ognia te szczypce do włosów, które tam grzałam i przyłożyłam je prędko... prędko... do twarzy i wtedy...

Wzburzenie na sali. Tak jak ona wtedy krzyknęła, tak teraz głośno ktoś krzyknął. Zdaje się, że to byłem ja. Mówiono mi potem, że wstałem z miejsca i że stałem przez ostatnie dwie minuty..

XXX.

„WYBIERAJ!"

— Ja jeszcze nie skończyłam!

To były pierwsze słowa, które usłyszeliśmy, gdy nareszcie przywrócono porządek i gdy słuchający uspokoili się nieco.

— Musiałam to wszystko opowiedzieć, żeby państwo zrozumieli to, co potem nastąpiło. Nie byłam oswojoną z bólem i nigdybym nie była potrafiła przyciskać tak długo tych szczypców do twarzy, gdyby mi nie dodawał siły widok samej siebie w lustrze. Gdy osądziłam, że oparzenie dosyć już jest głębokie, oderwałam szczypce i właśnie miałam je przyłożyć do drugiego policzka, gdy zobaczyłam, że drzwi poza mną otwierają się pomału, jak gdyby je kto ostrożnie popychał.

W jednej chwili zapomniałam o moim bólu, prawie o moim zamiarze, wpatrzona tylko w te drzwi. Ujrzałam, jak powoli otwierają się zupełnie i ujrzałam moją siostrę, stojącą na progu z taką miną i z takim wyrazem, że przeraziło mnie to więcej, niż samo rozpalone żelazo. Upuściłam szczypce, obróciłam się, żeby na nią spojrzeć i instynktownie nakryłam twarz ręką.

Spostrzegłam, że siostra wodzi okiem po mojej strojnej obiadowej sukni, po mojej ręcznej torebce i świecy, palącej się w ogrzanym pokoju. To wszystko, zanim jeszcze przemówiła. A potem, oddychając głęboko i jakoś z trudem, spojrzała mi prosto w oczy i zapytała temi prostemi słowy:



I ujrzałam moją siostrę, stojącą na progu.

— A gdzie jest on?

Mówiąc to, Karmela spuściła głowę, natychmiast jednak znów ją podniosła. Mnie nie łatwo było podnieść oczy.

— Czy masz na myśli Elwooda? — zapytałam.

— Ty wiesz! — odpowiedziała. — Spadła zasłona z moich oczu, Karmelo; będziemy teraz mówiły jasno. Widziałam, że ci podawał list. Słyszałam, jak prosiłaś Artura, żeby ci zaprzągł konia. Poniżyłam się do tego, by pójść tu za tobą i teraz niech nie będzie wykrętów między nami. Ty czekasz na niego tutaj?

— Nie! — zawołałam. — Ja nie jestem tak zła, Adelo... ani on nie taki zły. Oto jest ten list. Przekonaj się, czego on się spodziewał i gdzie byłabym się z nim spotkała, gdybym była tą samolubną istotą, za jaką ty mnie masz!

Miałam tę karteczkę przy sobie, schowaną na piersiach. Wyjęłam ją teraz i podałam siostrze. Nie czułam wcale oparzenia na razie, ale wciąż zakrywałam je ręką. Adela spojrzała na napisane słowa; miałam ochotę upaść jej do nóg, takie cierpienie wybiło się na jej twarzy... Mówiono mi, że mam tylko fakta podawać, a nie mówić o moich uczuciach, ani o uczuciach drugich... Będę się starała pamiętać o tem. Ale to tak trudno siostrze... opowiadając takie straszne przejście...

Ona spojrzała na tę kartkę, ale prawie zaraz wypuściła ją z ręki.

— Ja nie mogę czytać tego, co on pisze! — zawołała. — Zresztą nie potrzebuję; my obie wiemy, którą z nas on kocha. Nie możesz powiedzieć, że mnie, swoją narzeczoną!

Milczałam, a twarz jej pobladła strasznie.

— Karmelo — przemówiła — czy ty wiesz, czem była dla mnie miłość tego człowieka? Ty dzieckiem jesteś, dzieckiem o sercu wrażliwem i gorącem, ale ty nie rozumiesz serca dojrzałej kobiety. Z pewnością nie znasz mojego. I nikt go zapewne nie zna — nawet on. Troski zatruły mi życie. Nie skarżę się na te troski; chcę tylko powiedzieć, że odebrały młodości mej cały urok. Obowiązek, to surowy mistrz; a surowość, gdy wcześnie w życiu zagości, twardszym czyni charakter człowieka, choć nie wystudza uczuć w jego sercu. Umiałam odczuć radość, gdy stała się moim udziałem, ale już nie umiałam radości dawać drugiemu. Myślałam, że umiem, ale niebawem przekonałam się, że się mylę. Tyś mi tego dowiodła — ty, z twoją pięknością, świeżością, z gorącem twojem, bólem nie tkniętem sercem... Ja nie mam powabów, któreby mogły walczyć z twoimi; miłość mam tylko, ale taką miłość, o jakiej ty, w twoim wieku, zamarzyć nawet nie możesz! Ale tej on już teraz nie pragnie ode mnie!

Tak dziwnie, dokładnie pamiętam nieledwie każde słowo, które powiedziała... Paliły mnie one boleśniej, niż to żelazo. I czułam się w sobie taka zimna, taka strasznie zimna, jak zastygła. Miałam wrażenie, że zamiast serca mam w piersiach bryłę lodu i straszno mi było, że nie mogę mówić, ale nie mogłam... nie mogłam jej odpowiedzieć.

— Ty masz wszystko — mówiła dalej. — Dlaczego zabierasz mi mój jedyny skarb? Ty mnie okradłaś. Widziałam uśmiech twój, gdy on na ciebie spojrzał. Tak się uśmiecha ten, kto przyrzeka. Ja to wiem, wiem... Karmelo, czy ty wiesz, dlaczego ja tu jestem?

Potrząsnęłam głową. Nie wiem, czy to jej zęby tak szczękały, czy też moje...

— Jestem tutaj, by koniec temu wszystkiemu położyć — mówiła dalej. — Bez wszelkiej nadziei, z sercem złamanem, życie dla mnie nie przedstawia żadnej wartości. Wierzę w Boga i wiem, że grzesznym jest czyn, który zamierzam. A jednak żyć dłużej nie mogę, jak to drzewo podcięte u korzenia. Jutro on już nie będzie potrzebował listów pisywać; może przyjść i pocieszyć cię w własnym twoim domu. Lecz wara mu spojrzeć na mnie! Tak jak siostry jesteśmy, a ja nie ledwie matką tobie — zakryj twarz moją przed jego oczyma — bo inaczej wstanę w trumnie i wstanie z martwych waśń naszego życia!

Opowiadam to wszystko, obnażam serce siostry mojej przed panami, podając jej własne słowa, święte dla mnie i dla innych tu obecnych, którzy słuchać tego muszą — a opowiadam dlatego, gdyż uważam, że słusznem jest, by panowie wiedzieli, w jakiem była uniesieniu rozpaczy i by wiedzieli o wszystkiem, co zaszło między nami w tej strasznej godzinie...

To nie było w porządku, stanowczo nie w porządku, ale prokurator Fox siedział nieporuszony.

Na znak dany przez obrońcę Karmela mówiła dalej:

— Zachwiałam się wobec tej groźby; a ona, która matką mi była od kolebki, porwała się odruchowo, chcąc mnie podtrzymać; opanowała się jednak i przystanęła o dwa kroki ode mnie.

— Odejmij rękę od twarzy! — zawołała. — Chcę widzieć twoją twarz, zanim ci zadam ostatnie pytanie. Nie mogłam tej kartki przeczytać... Dlaczego ty tutaj przybyłaś?

Opuściłam rękę, ona zaś stała i patrzyła na mnie; a potem nagle krzyknęła i szybko podbiegła ku mnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Francuzi w kraju Massalitów.

W jednym z poprzednich numerów podaliśmy parę illustracyi i garść szczegółów z walk Francuzów z dzikim ludem Massalitów, którzy sąsiadują z ich posiadłościami w Afryce środkowej i z krajami, pozostającymi pod ich protektoratem. Wojowniczość i wiarołomstwo tego szczepu raz po raz zmusza wojska republiki do zapuszczania się w ich ziemie i staczania z nimi ciężkich walk. O szczegółach tych zapasów dowiaduje się Europa dopiero w parę miesięcy po wypadkach. To też do niedawna wiedzieliśmy tylko o fakcie zabicia w walce z Massalitami pułkownika Moll'a i zwycięstwach Francuzów pod Abeszą i Driżelą. Obecnie przynoszą gazety dokładniejsze relacye o tej ciekawej wojnie, przypominającej żywo bohaterskie walki pierwszych osadników amerykańskich z Indyanami.

Wedle listu nadesłanego przez kapitana Arnaud do paryskich dzienników, padł pułkownik Moll ofiarą niedocenienia sił przeciwników i własnej nieostrożności. Massalici cofnęli się przed nim w głąb kraju, pozwalając mu zająć nie bronioną stolicę, gdy jednak zapuścił się dalej, szukając miejsca na rozłożenie obozu, ukazali się nagle w liczbie kilku tysięcy i uderzyli na osłabioną przez wyprawienie Arnaud'a z 130 ludźmi ku Dar Tamarowi kolumnę francuską. Mitraliezy i karabiny maszynowe siały w zwartych szeregach dzikich straszliwe zniszczenie, ale nie zdołały powstrzymać ich impetu. Otoczony i napierany przez jazdę Massalitów czworobok zaczął się cofać i uniknął dzięki temu zupełnej zagłady, okupując jednak ocalenie wielkiemi stratami. Wśród poległych był sam pułkownik i jeden z poruczników. Nawet jedna z armat francuskich wpadła w ręce czarnych.

Lecz tryumf ich był krótkotrwały. Zwyczajem swoim rozproszyli się po pobojowisku dla obdzierania trupów i dobijania rannych, gdy wtem z szalonym impetem natarli na nich chciwi pomszczenia wodza Francuzi. Paniczny popłoch powstał wśród niedawnych zwycięsców. Pierzchnęli w nieładzie, zostawiając na polu walki sześciuset zabitych i porzucając zdobyte działo.

Tymczasem kapitan Arnaud, którego wyprawa miała być raczej demonstracyą, został napadnięty przez sułtana Dudmurę i zadał mu również klęskę, w której padł i sam sułtan, postrach pogranicza i nieprzejednany wróg Europejczyków, a stolica jego otworzyła swe bramy Francuzom. Po tych powodzeniach obie kolumny połączyły się i pomaszerowały dalej w ślad za rozgromionymi Massalitami.

Kapitan Arnaud kończy swój list słowami: „Dążymy w głąb kraju. Miejmy nadzieję, że tym razem nastąpi rozstrzygające zwycięstwo bez poległych do opłakiwania".



Francuzi w kraju Massalitów: Wojsko francuskie w pochodzie; po prawej dwaj ranni oficerowie francuscy.

Śmierć rzecznego olbrzyma.

Hippopotam, zwany także koniem nilowym, żyje w wielkich rzekach afrykańskich i jest zwierzęciem dużem, o wielkiej sile. Karmi się głównie roślinami wodnemi, lecz prócz tego wyrządza ciężkie szkody w plantacyach. Z tego powodu, a także dla wybornego smaku jego mięsa i wartości jego zębów, które podobne są do słoniowych, jest hippopotam ulubioną zwierzyną krajowców.

Polują na niego z pomocą harpunów i samotrzasków, najczęściej używanym jednak jest sposób przedstawiony na naszej illustracyi. Polega on na tem, że w zaroślach nadbrzeżnych wiesza się na gałęzi ciężką kłodę zakończoną ostrzem metalowem, tak umocowaną, że pada, gdy przechodzi pod nią



Śmierć rzecznego olbrzyma: Ujęty w zastawioną pułapkę hippopotam.



Aresztowanie „niebieskiego ptaka": Antoni Zgórski, fałsz. Gaszyński, aresztowany w Krakowie za oszustwa.

koń nilowy. Ponieważ zwierzę, nawet ciężko ranione, ucieka zwykle do wody, więc kłoda przymocowana jest liną do drzewa, co uniemożliwia ofierze schronić się przed prześladowcami pod wodą. Nadbiegają oni zwabieni trzaskiem spadającego drewna i rykiem ugodzonego hippopotama i dobijają go ręczną bronią.



Francuzi w kraju Massalitów: Transport odbitych Massalitom dział francuskich.



Zgon wybitnego urzędnika: Ś. p. Włodzimierz hr. Łoś z Grodkowa, wiceprezydent namiestnictwa.

Wystawa pocztówek i przyborów piśmiennych w Warszawie.

W drugiej połowie marca odbyła się w Warszawie w salach redutowych bardzo oryginalna wystawa pocztówek i przyborów piśmiennych, urządzona na dochód kolonii letnich. Wystawa powiodła się bardzo dobrze i zyskała ogólne uznanie a publiczność gromadziła się w salach redutowych bardzo licznie, poświęcając główną uwagę działowi pocztówek. One też zajęły większą część wystawy. Mniej było wystawców w dziale przyborów piśmiennych a zawiodły prawie zupełnie fabryki papieru i ołówków, choć wytwórczość w tej gałęzi przemysłu naszego w Królestwie Polskiem zajęła poważne miejsce.

W wystawie wspomnianej wzięła udział znana firma lwowska Stefana Niemojowskiego, której zastępstwo ma w Warszawie Stefan Unger i Spółka. Z wydawnictw tej firmy najwięcej się podobały albumy wojska polskiego, swojskie pocztówki, nadto papiery listowe z rozmaitemi winietami i t. p.

Z bardzo pięknemi, prawdziwie [illegible] pocztówkami wystąpił nadto cały szereg firm warszawskich. Nadzwyczaj podobały się pocztówki z treścią nokturnów i preludyów Chopinowskich, dalej z kopiami sztychów angielskich. Było nadto wiele pocztówek okolicznościowych, jak noworoczne, wielkanocne, gwiazdkowe, oraz z widokami Warszawy.

Prócz tego wzięli w wystawie udział zawodowi fotografowie i amatorzy, przedstawiając bardzo udatne zdjęcia portretowe i grup. Szczególnie piękne były zdjęcie firmy „Switeź“, celującej w fotografowaniu wnętrz i grup.

Obok firm handlowych wystąpiły na wystawie także stowarzyszenia społeczne, jak Tow. urządzeń szkolnych i pomocy naukowej „Urania“, Tow. miłośników fotografii, Warszawskie tow. hygieniczne i inne.

Na zakończenie wystawy odbyło sie rozdanie nagród poszczególnym wystawcom.



Wystawa pocztówek i przyborów piśmiennych w Warszawie: Komitet wystawy, z prezesem A. Sturmem w pośrodku.

Stowarzyszenie głuchoniemych.

Liczba nieszczęśliwych kalek, dotkniętych głuchotą, jest w Warszawie bardzo znaczna, tak iż pojawiła się niedawno myśl powołania do życia instytucyi, której celem i zadaniem miałoby być ogniskowanie życia towarzyskiego głuchoniemych żydów.

Zajęło się tą sprawą grono osób, odczuwających głęboko niedolę ludzką i zaprosiło do sali gminy izraelickiej wszystkich interesowanych. Przybyło ich przeszło 200 obojga płci; zebranie zagaił na migi jeden z organizatorów pan Krasucki, poczem przewodniczącym wybrano p. L. Hiperna, który przedstawił zebranym cel zgromadzenia. Nad sprawą tą wywiązała się po przemówieniu przewodniczącego bardzo żywa dyskusya, w której uczestniczyło bardzo wiele osób, przedstawiając konieczność i potrzebę zjednoczenia się dla wspólnej pracy i wzajemnego wspierania się. Podnoszono dalej jako jedną z najważniejszych i najpilniejszych spraw ko-

nieczność utworzenia szkoły dla głuchoniemych żydów, ponieważ brak takiej szkoły daje się odczuwać bardzo dotkliwie, a jedyny tego rodzaju zakład w Warszawie — Instytut głuchoniemych — zaledwie małą część nieszczęśliwych uwzględnić może.

Obecnie najważniejszy szkopuł stanowi pod tym względem brak odpowiednich funduszów, org niza-



Kobieta-poseł: Panna Anna Rogstad w sali norweskiego Storthingu.

torowie zebrania atoli wyrazili nadzieję, że społeczeństwo nie odmówi im swego poparcia i że znajdą się zasobni filantropi, którzy pospieszą z datkami na założenie takiej szkoły.

W rezultacie postanowiono na wspomnianem zebraniu wybrać komitet, który ma się zająć opracowaniem i zalegalizowaniem ustawy towarzystwa wzajemnej pomocy żydów głuchoniemych, przy którem istniałby klub towarzyski. Do komitetu wykonawczego powołano pp. L. Halperna, B. Krasuckiego, J. Weitzbluma oraz S. Gutfelda.

Napowietrzna korespondencya.

Aeroplany znajdują coraz szersze, coraz powszechniejsze a praktyczne zastosowanie. Ostatnio użyto maszyny do latania jako pośrednika pocztowego, a stało się to na wystawie w Allahabad w Indyach.

Miasto Allahabad jest jednem z większych miast Indyi Wschodnich i podobnie, jak cała prowincya tej nazwy, pozostaje pod rządami angielskimi. Leży ono u spływu dwu świętych rzek Gangesu i Dżamny i stąd samo uważane jest za miasto święte. Jako takie jest celem licznych i tłumnych pielgrzymek buddystów, którzy przybywają tam celem użycia kąpieli oczyszczających i zaopatrzenia się w świętą, cudowną wodę. Allahabad jest też ważnym punktem strategicznym i posiada dużą cytadelę.

Anglicy podnieśli tam kulturę i cywilizacyę na wysoki poziom a postęp ostatnich lat ujawnił się najwidoczniej na ostatniej wystawie.

Podczas wspomnianej wystawy w Allahabad nadano tam list do pewnej angielskiej firmy w Coventry. Kapitan Windham zabrał list ten na swój aeroplan i przewiózł go do Kalkutty, a tam oddał w urzędzie pocztowym, który następnie wysłał go do Anglii, odchodzącym stamtąd właśnie statkiem parowym.

Przed odesłaniem wspomnianego listu do Europy kopertę tegoż zaopatrzono w specyalną pieczątkę: „First Aërial Post", tzn. „Pierwsza poczta napowietrzna".



Napowietrzna korespondencya: Koperta listu, przewiezionego aeroplanem z Allahabad do Kalkutty.

Zadżumiony.

Straszliwa zaraza, dziesiątkująca od paru miesięcy ludność Mandżuryi, szerzy się dalej i zagraża już nawet Pekinowi. Wobec trudności zmuszenia ludności, a choćby tylko posługaczy sanitarnych do zachowania środków ostrożności, czują się lekarze



Wystawa pocztówek i przyborów piśmiennych w Warszawie: Wnętrze głównej sali wystawowej.



Zadżumiony: Patrolujący żołnierz rosyjski zatrzymuje chorego Chińczyka, aby oddać go służbie sanitarnej.

rosyjscy bezsilnymi. Nie było dotąd jednego wypadku wyzdrowienia, a zastrzykiwane chorym serum przydłuża im tylko życie na kilka dni, ale nigdy nie może wydrzeć ich ze szponów nieubłaganej śmierci.

To też walka prowadzona z dżumą ma raczej charakter obrony zdrowych, niż ratowania zarażonych. Po ulicach krążą patrole rosyjskie, a żołnierze natychmiast zatrzymują ludzi chorych i oddają ich w ręce sanitaryuszów.

Na załączonej illustracyi widzimy scenę na ulicy Charbina. Żołnierz z takiego patrolu ujrzał Chińczyka, plującego krwią i zatrzymuje go ostrzem szabli. Nieszczęśliwy nie pójdzie dalej. Ponieważ stał się wcielonem niebezpieczeństwem dla każdej napotkanej ludzkiej istoty, musi być wyłączony ze społeczeństwa. Przewieziony do baraku przeznaczonego dla ofiar zarazy, będzie w męczarniach oczekiwał nieuniknionego końca, a jeszcze ciało jego pozostanie groźnym rozsadnikiem dżumy. Widzimy, że żołnierz podnosi do ust rękę ze świstawką, ażeby dać sygnał posługaczom szpitalnym, którzy za chwilę pojawią się i zabiorą Chińczyka w karetce sanitarnej.

Posługacze ci rekrutują się ze sfer najuboższych, z ludzi niemających nic do stracenia. Zwabieni wysoką stosunkowo płacą (50 do 60 rubli miesięcznie), spełniają ciężką swą służbę tylko przez czas krótki, gdyż jeden po drugim zarażają się sami — i to zawsze z własnej winy, gdyż nie stosują się dość skrupulatnie do przepisów lekarskich, a przedewszystkiem mimo najsurowszego nakazu przywłaszczają sobie ubrania zmarłych i różne przedmioty, które ci posiadali, a taka kradzież pociąga za sobą szybką i straszliwą karę w postaci dżumy. W ten sposób mszczą się umarli na żywych...

Zgon wybitnego urzędnika.

Namiestnictwo lwowskie utraciło jednego z najstarszych swych i najzasłużeńszych urzędników. Zmarł mianowicie we Lwowie w ubiegłą niedzielę wiceprezydent namiestnictwa Włodzimierz hr. Łoś z Grodkowa.

Urodzony 1847 r. w Kulmatyczu, wstąpił po ukończeniu studyów uniwersyteckich 1871 r. do służby politycznej. Pracował naprzód we Lwowie, następnie w Wiedniu w ministeryum spraw wewnętrznych, a w 1881 r. został starostą w Pilźnie. Powołany z powrotem do Wiednia, do ministeryum Galicyi, pozostał tam aż do 1887 r., poczem powrócił do namiestnictwa galicyjskiego.

Tu pracował aż do ostatnich dni życia, od 1892 r. jako radca dworu, od 1904 r. jako wiceprezydent. Był przez lat 20 komisarzem rządowym w sejmie galicyjskim; cieszył się zawsze ogólnym szacunkiem i sympatyą, z powodu wielkich zalet umysłu i serca. Jako urzędnik odznaczał się nadzwyczajną gorliwością i sumiennością w pracy i był zawsze prawdziwym wzorem dla młodszych urzędników.



Stowarzyszenie głuchoniemych: Uczestnicy zebrania głuchoniemych żydów w Warszawie; 1. B. Krasucki; 2. L. Halpern; 3. J. Weitzblum; 4. S. Gutfeld; 5. G. Weisenzang.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

23 przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

Skrzynecki nawet nie zauważył ich oddalenia, bo oto nazwisko Bema poruszyło w generale ledwie co uciszoną burzę, potokami goryczy zalało mu serce.

Bem! Znów jeden z tych obłudników, faryzeuszów, których na to podniósł, wywyższył, aby mu złem za dobro płacili! dobył go z kapitaństwa, pozwolił wykazać, zasłużyć, mianował dowódzcą bateryi, na pułkownika go wypromował! Cha, i doczekał się wdzięczności! Szarak pospolitego imienia, oficerek ni z pierza ni z mięsa, bakałarz ogniów ze Szkoły aplikacyjnej wywyższenie swoje wziął za prawo do intryg, do knowań przeciwko własnemu wodzowi! Śmiech powiedzieć, ważył się kandydaturę swą wysuwać, iść z nim, ze Skrzyneckim w paragon. I gdzie nie dotarł! do Krukowieckiego, do prezesa Rządu! Jemu, Skrzyneckiemu, czołobitnościami wojskowemi świeci, gorliwca symuluje a za plecami kąsa, szczuje, knowa. I dziwić się tu Prądzyńskiemu, kiedy taki nowicyusz, kapitan w istocie, waży się nadstawiać! A przecież łudził się, że właśnie tacy, jak Bem, ci, którzy za jego przyzwoleniem, pod jego rozkazami na pułkowników wyszli, będą mu najwierniejsi, że na takich dopiero wolno mu polegać. Ale się imć pan Bem przeliczył. Jeszcze mu daleko do generalskiego kołnierza, jeszcze mu zasię od prowadzenia gry z wodzem naczelnym! Tegoby jeszcze trzeba było, żeby mu przyszło z ciurami politykować! Weźmie nauczkę. Przykład musi być!

W tem miejscu Skrzynecki rozwarł gwałtownie drzwi i rzucił przez próg ordynansowi.

— Wołać pułkownika Bema.

Po chwili we drzwiach ukazała się nikła postać dowódzcy bateryi konnej.

— Mam honor witać wodza generała!

Skrzynecki skinął niedbale w odpowiedzi na ukłon i zaczął oschle.

— Stan bateryi?

— Według rozkazu w gotowości do wymarszu.

— Więc doprowadzona do porządku, bo raport inspekcyjny bardzo licho dla pułkownika wypadł.

— Zawiadomiono mnie w ostatniej chwili... po rannym apelu, część znaczna żołnierzy była za pozwoleństwem w Warszawie...

— Nieład, brak doświadczenia. Winieneś pułkownik nie zapominać, iż dnia ani godziny nie jesteśmy pewni! Czas, abyś pułkownik zbył się kapitańskich nawykień. Co dawniej uchodziło, co było w kapitanie cnotą, to jest niezbędnym pułkownika obowiązkiem!

Bemowi plamy czerwone wystąpiły na czoło. Skrzynecki mierzył krokami komnatkę.

— Nie zawadziłoby do służby garnizonowej zajrzeć.

— Już w trzynastym roku dowodziłem baterya!

— I niechybnie znakomicie. Bo jak porucznik, w zastępstwie kapitana, kompanię w boju siako tako sprawi, to już osobliwości dokazuje. Lecz za co porucznik może wziąć krzyż, za to samo kapitanowi napomnienie się dostaje! — Proszę nie przerywać. Nie ujmuję pułkownikowi zdolności ani odwagi! Masz je i za nie wziąłeś dwa awanse. Więc chyba sowita spotkała cię nagroda.

— Nie uskarżam się, panie generale.

— Jeno patrzysz lepszych promocyi! — Tak! — Sztab odebrał instancyę prezesa rządu o krzyż oficerski dla ciebie...

— Nie zabiegałem oń...

— Prezentowałeś się księciu.

— Stawiłem się wezwany w sprawie listów, znalezionych przez mego wachmistrza, listów, które nadewszystko doręczyłem kapitanowi Działyńskiemu, jako adjutantowi...

— A o których nadewszystko dowiedział się pan Krukowiecki.

— Nie odemnie, generale!

— Być może.

— I tak jest! — podjął Bem drżącym od wzburzenia głosem. — A instancyę o krzyż raczy wódz-generał odrzucić, bo nagrodzonym dość, więc przyjąć nie mogę.

Skrzynecki ochłonął.

— W każdym razie źle pułkownikowi usłużono. Sam i pilnie czuwam, aby niczyja zasługa nie była zapoznaną. Wogóle mam pułkownikowi za złe, że dajesz się do jakichś stronnictw i partyi ciągnąć. A przyznaj, że zgoła niewłaściwem było twoje uniesienie podczas aresztowania pana Krukowieckiego...

Bem, którego oczy znów błyskawicami łyskać zaczęły, zmięszał się raptem.

— Ciężko było widzieć posiwiałego w służbie generała...

— A mnie stokroć ciężej na krok podobny się zdobyć. Zniósłbyś pułkownik, gdyby ci twój podwładny oficer od rozkazów się uchylał? Gdyby ci bruździł, wymawiał posłuszeństwo?! Powiedz.

Bem wpił oczy w ziemię. Skrzynecki miał słuszność. Wszak za jedno to obcesowe wystąpienie wówczas, w Pałacu pod blachą, wart był Krukowiecki sądu.

Skrzynecki, uczuwszy swą przewagę nad Bemem, złagodniał.

— Tak, pułkowniku, nie należy brać rzeczy. Dwie strony są a nie jedna. A przedewszystkiem unikać wypada intrygantów, krętaczów, bo cię wplączą w sieci, uwikłają i zmarnują. Położenie nasze jest samo przez się bardzo ciężkie. Ocalić je może tylko jedność, tylko ufność do dowódzcy.

Skrzynecki długo jeszcze i barwnie rozwodził się w podobnym sensie. Bem milczał. Chwilami, gdy generał napomykał o niezgodzie, o współzawodnictwie, które, miast walczyć w szrankach prawdziwego dobra ojczyzny, pogrąża ją dla zawiści osobistej, zdejmowała pułkownika ochota wypomnieć Skrzyneckiemu bodaj jednego Umińskiego. Lecz nie śmiał, nie mocen był mierzyć się z wymownością wodza. Skrzynecki bowiem wpadł w zapał krasomówczy. Snuł dźwięczne okresy, unosił się ich wspaniałością, roił, śnił, widział siebie samego takim, jakim może pragnął być.

Aż gdy ustał, gdy wzrok rozlśniony utkwił w pułkowniku, tego ostatniego ledwie że wyrzuty zdjęły. Bo jakże lekce sobie ważył intencye Skrzyneckiego, jakże go nie doceniał, jakże nie ogarniał przeciwności, niweczących najlepsze zamysły wodza.

Skrzynecki snać czuł się pokrzepionym własnemi słowami, bo ozwał się już pogodnie.

— No, pułkowniku, mimo te wszystkie chmury i chmurki, ufam, że niedługo brygadyerstwo sobie zdobędziesz! I bez instancyj, bez obiecanek, co w oczy rade cię kaptować a za oczy buty ci szyją w sztabie. Zostaniesz w Wiązownie. Z Rybińskiego dywizyą będziesz, więc i ze mną. Lada dzień wypadnie nam rozpocząć... Czekamy na wiadomości... Stanowczą wydamy bitwę...

Skrzynecki pochylił się nad stołem i jął wodzić ręką po mapie.

— Tak — stanowcza rozprawa musi być! — Hę — cóż, pułkownikowi nie zdaje się? Słucham, proszę...

— Rozprawy stanowczej rad bym unikał, generale.

Wódz się nadąsał.

— A! — Nie ogarniasz stanowisk nieprzyjacielskich! Spójrz, przekonaj się, bitwa rozstrzygająca sama przez się idzie ku nam.

— O ile stać będziemy bezczynnie.

— Nie rozumiem, co pułkownik nazywasz bezczynnością! — uniósł się Skrzynecki.

— Stan, w którym trwamy od kilku tygodni!

— Widzę, że pułkownik przejąłeś się racyami warszawskich patryotów! A nie, daruj, lecz chyba mam prawo wojskowej spodziewać się odpowiedzi! Jakiemuś sejmikowiczowi, kanceliście może troić się w głowie, że jeden pułk nasz starczy na dywizyę, że możemy istotnie przedsiębrać nadzwyczajne poruszenia! Ale pułkownik doprawdy głębsze winieneś mieć pojęcie o istotnych przyczynach tej naszej, jak powiadasz, bezczynności!

— I dlatego generale, mogę tylko prosić o zwolnienie mnie z obowiązku wypowiadania mego niefortunnego poglądu.

Wódz strzepnął desperacko rękoma.

— I otóż zwykła racya! Sądzisz inaczej, inaczej rzecz bierzesz, więc urażasz się i milczę!

— Obawiam się jedynie nadużyć cierpliwości generała.

— Przeciwnie, mów, niech się dowiem...

— Dybicz najoczywiściej ściąga wszystkie siły ku Wiśle na otoczenie nas.

— Nie masz wątpliwości.

— Jeżeli dotąd nie przeprawił się na lewy brzeg to podobno dlatego, że Chłapowski a za nim Giełgud z Dembińskim zagrozili mu na tyłach, że nadchodzące mu rezerwy mają już niezawodnie do czynienia z płomieniem powstania litewskiego, które w obliczu wojsk polskich rozgorzało z podwójną siłą.

— Bardzo słuszny wywód a w nim argument, że bezczynność nasza przecież coś dokazała.

— Według mnie należałoby dalej działać na rozdrobnienie sił Dybicza i ruszyć na Wołyń.

— Na Wołyń! Skakać znów kilka tysięcy ludzi na los korpusu Dwernickiego.

— Zależy od tego, jak nowa wyprawa zostanie...

— Pułkowniku, nie wiesz o tem, że Rüdiger sięga Lublina!

— Lecz ma za sobą Zamość a w nim pięć tysięcy załogi z generałem Chrzanowskim.

— Kreutz jest pod Siedlcami.

— Ramorino stoi przy ujściu Wieprza. Uderzywszy więc na Rüdigera z frontu i wysunąwszy ku niemu Chrzanowskiego, można Rüdigera nietylko rozbić, lecz i drogę otworzyć ku Wołyniowi.

— Zostanie jeszcze Kajzarow.

— Za słaby na zgotowanie oporu.

— Warszawa tymczasem wydaną byłaby na łaskę i niełaskę marszałka.

— Niezupełnie. Generał Ambroży Skarzyński jest nad Bugiem, przy Modlinie. Główne siły mogłyby stanąć w odwodzie, w gotowości do marszu pod Warszawę, korpus generała Umińskiego wystarczyłby na Rüdigera...

— Masz na myśli, pułkownik, korpus generała Jankowskiego, który objął dowództwo.

— Tak jest.

— A cóż powiesz o magazynach rosyjskich na pruskiej granicy, o przygotowaniach do przeprawy przez Wisłę pod Toruniem?

— Pod Toruniem? — skonfundował się nieco Bem.

— Tak, z czego wynika, że Dybicz czyha na sposobność, aby Warszawę atakować a wówczas...

— Wówczas stracimy miasto tylko. W dziewiątym roku...

— Żyjemy w trzydziestym pierwszym! I kogo byś pułkownik myślał skazać na podjęcie tej nowej imprezy wołyńskiej?

— Gdyby, generale, nie było chętnego, pierwszy-bym...

Skrzynecki roześmiał się dobrotliwie.

— Cha-cha! Dziękuję pułkownikowi za gotowość. Bywaj! Pójdziesz z pierwszą dywizyą. A co zresztą, zobaczymy. Chwalę pułkownikowi owo szukanie posunięcia. Zawsze świadczy ono o bystrości. Kto wie, myśl warta zastanowienia. Będę miał na uwadze, proszę być przekonanym.

Bem wyszedł od Skrzyneckiego pod wrażeniem, że bądź co bądź, zjednał sobie przychylność wodza dla swego planu. I w tym celu zabrał się natychmiast do wertowania map i wykreślania kombinacyi marszu ku Wołyniowi.

Tymczasem wódz naczelny kładł się na spoczynek z uczuciem, że nowego i zgoła niebezpiecznego intryganta zmusił do odsłonięcia kart i że nadewszystko Bemowi nie można powierzać żadnej samodzielnej misyi. Pozatem cały projekt pułkownika zakrawał dlań na awanturniczą zachciankę nieopatrznego oficerka.

Następnego dnia, a raczej w kilka godzin zaledwie po przybyciu Skrzyneckiego do Wiązowny, zjechał sztab główny, kancelarye, generał Łubieński, tabor, bryki pełne tobołów, manatków, kredensów, służby a nawet i dam znaczna gromadka. Lecz co najważniejsze razem z tą ciżbą przybył nareszcie Łuba.

Wódz naczelny, na wiadomość o Łubie, nawet nie zmarszczył się za przerwanie mu wczasów. A jeżeli skwapliwość, z jaką Skrzynecki napierał się oglądać szpiega, wywołała sarkastyczne szepty między sztabowcami, to dlatego bodaj, aby zupełnego doczekać się tryumfu.

Łuba bowiem na pierwsze pytanie generała zgiął się w pałąk, zmrużył podpuchnięte oczka i odparł rezolutnie.

— Dobrze słychać wodzu miłościwy! — Dybicz umarł.

Skrzynecki zerwał się z za stoła.

— Co asan! Skąd! Jak?!...

— Cholera go sparła a podobno lepiej niż cholera. Nad ranem, temu trzy dni, zachorzał a według południa już go nie było. I cale nie za rychło, miłościwy generale!

— Trzy dni temu!

— Akurat miała być parada wielka, jako w rocznicę jakiejś srogiej bitwy tureckiej. Chciałem wyrwać się, ale nie mogłem. Żywego ducha nie puszczali z obozu. Hrabia Toll dowodzi a generał Orłow, który z Peterburka zjechał, przeglądy czyni.

Skrzynecki tak był przejęty odebraną nowiną, iż rozwarł drzwi do izby, kędy cały sztab z generałem Łubieńskim wyglądał końca audyencyi Łuby i ozwał się uroczyście:

— Mości panowie, feldmarszałek Dybicz umarł!

Sztab zachrzęścił ze zdumieniem. Łubieński a z nim pułkownik Lewiński przysunęli się do wodz.

— Czy aby pewna wiadomość? — Rozbity po-jazd Kreutza słowa nie pisnął o feldmarszałku.

Wódz ruchem ręki zaprosił Łubieńskiego i L

wińskiego do swej komnatki i wskazał im na skuloną figurkę zwiastuna.

— Oto właśnie imć Łuba.

Szef sztabu głównego zmierzył go surowo.

— Jesteś pewnym, że to nie bałamuctwo?

— Rany Chrystusa, jaśnie wielmożny generale, jak własnych oczu. Półtora dnia sprawiali mu nabożeństwa, aż wczoraj dwa szwadrony kirasyerów z harmatami wywiozły trumnę do Łomży!

— Na cholerę podobno.

— Za to, miłościwy wodzu, nie ręczę, czyli ona go struła czyli nie ona.

Skrzynecki spojrzał znacząco na Łubieńskiego. Pułkownik Lewiński zezował jeszcze niedowierzająco a krzyżowemi pytaniami próbował zaskoczyć Łubę. Lecz nim koncept swój wyczerpał, nadjechał ordynans Milberga z wiadomością o pojmaniu kuryera głównej kwatery rosyjskiej, wyprawionego do Rüdigera. Papiery, odebrane kuryerowi nietylko potwierdzały śmierć feldmarszałka, ale równocześnie świadczyły, że wszystko, co mówił Łuba o rozkazach Tolla ku zwabieniu wojsk polskich na bitwę pod Winnicą, o sypaniu wałów na wzgórzach pułtuskich pod bateryę, o wyczekiwaniu na posiłki, prowadzone przez Murawiewa, było najrzetelniejszą prawdą.

Wieść o śmierci Dybicza lotem błyskawicy rozniosła się między wojskiem, zgromadzonem pod Wiązowną, budząc otuchę i wiarę w niezawodne teraz zwycięstwa. Generałowie pędzili z najodleglejszych stanowisk do głównej kwatery, spodziewając się piorunowych rozkazów, dla wykorzystania chwili zamętu w obozie rosyjskim.

Jakoż wódz naczelny istotnie zbył się raptem kunktatorstwa i rzucał rozkazami i rozkazami tak potężnymi, że szef sztabu Łubieński jął coprędzej ordynansa za ordynansem słać do Prądzyńskiego a dowiadywać się, co wielki strategik myśli o planie wodza.

Plan zaś Skrzyneckiego polegał na tem, aby Chrzanowski z Zamościa a Ramorino z pod Gołębia uderzyli na Rüdigera.

Prądzyński odpowiedział Łubieńskiemu, że Rüdiger poradzi sobie z obu przeciwnikami i że daleko pewniej byłoby Ramorinowi nakazać połączenie się z Jankowskim i ruszyć z nim razem na Kock na Rüdigera. Ale ku dokonaniu tego trzeba, by główne siły wyciągnęły w stronę Buga dla pilnowania armii Tolla. Chrzanowski zaś, miast cofać się z Zamościa ku Lublinowi, powinienby iść na Wołyń i zmierzyć się z Kajzarowem.

Łubieński przedłożył tę zmianę naczelnemu wodzowi, strzegąc się pilnie napomknienia, że od Prądzyńskiego pochodziła.

Skrzynecki atoli przeczuł w tej kalkulacyi nienawistnego mentora i zmienił ją wnet tak, że własna jego strategia wzięła górę.

Więc nadewszystko było jasnem, że jeżeli rozbicie kopusu Rüdigera byłoby nielada pomyślnością, to chyba chyba dwakroć większą pomyślnością byłoby zadać równocześnie cios śmiertelny, czającemu się pod Siedlcami Kreutzowi. Jankowski może się podzielić, sam pójdzie na Kock a Rybińskiego wyprawi do Siedlec. On zaś, Skrzynecki, stanie w Siennicy, rozstawiając za sobą mocne rezerwy, aby mieć powrót na Pragę zabezpieczony. A żadnych sił ku Bugowi nie wysunie, bo lepiej licha nie budzić, bo nużeby Tollowi przyszła ochota napaść.

Łubieński znów poradziwszy się Prądzyńskiego, napomykał, że jedna dywizya Rybińskiego nie poradzi Kreutzowi — lecz Skrzynecki słuchać nie chciał o zmianie rozkazów.

Nazajutrz główna kwatera wojsk polskich była już w Siennicy. Jankowski pomaszerował do Kuflewa a Ramorino zaczął gotować się do przeprawy przez Wieprz, na połączenie się z Jankowskim.

Ruch gorączkowy ogarnął całą połać prawego brzegu Wisły. Drogami i traktami, wiodącymi ku Siennicy, Gołębiowi, Radzyminowi, Kałuszynowi, Maciejowicom sunęły łańcuchy wozów amunicyjnych, borów, pędzili oficerowie ordynansu, kuryerzy, skie posyłki z rozkazami, sztafety, wlokły się iony piechurów, dudniły bryki i pojazdy sztaów, generałów.

rzyżowały się raporty z raportami, depesze z depeszami. Ścieżynami leśnemi, wertepami skradali się gońce do Zamościa, aż za łańcuchy placówek rosyjskich. Ci haszczami zmrużali za Niemen, z wieściami i po wieści do Giełguda, inni przemykali się ku Wołyniowi. Rekonesanse i podjazdy parły na wsze strony.

Wódz atoli miał na wartość niektórych sztabowych zarządzeń, swój własny pogląd. Uważał za konieczne, za pożyteczne słać zwiady, polować na dostanie języka, ale przedewszystkiem wierzył Łubie. On jeden bowiem zdolen był pochwycić wątek i czuwać nad rosyjskim sztabem.

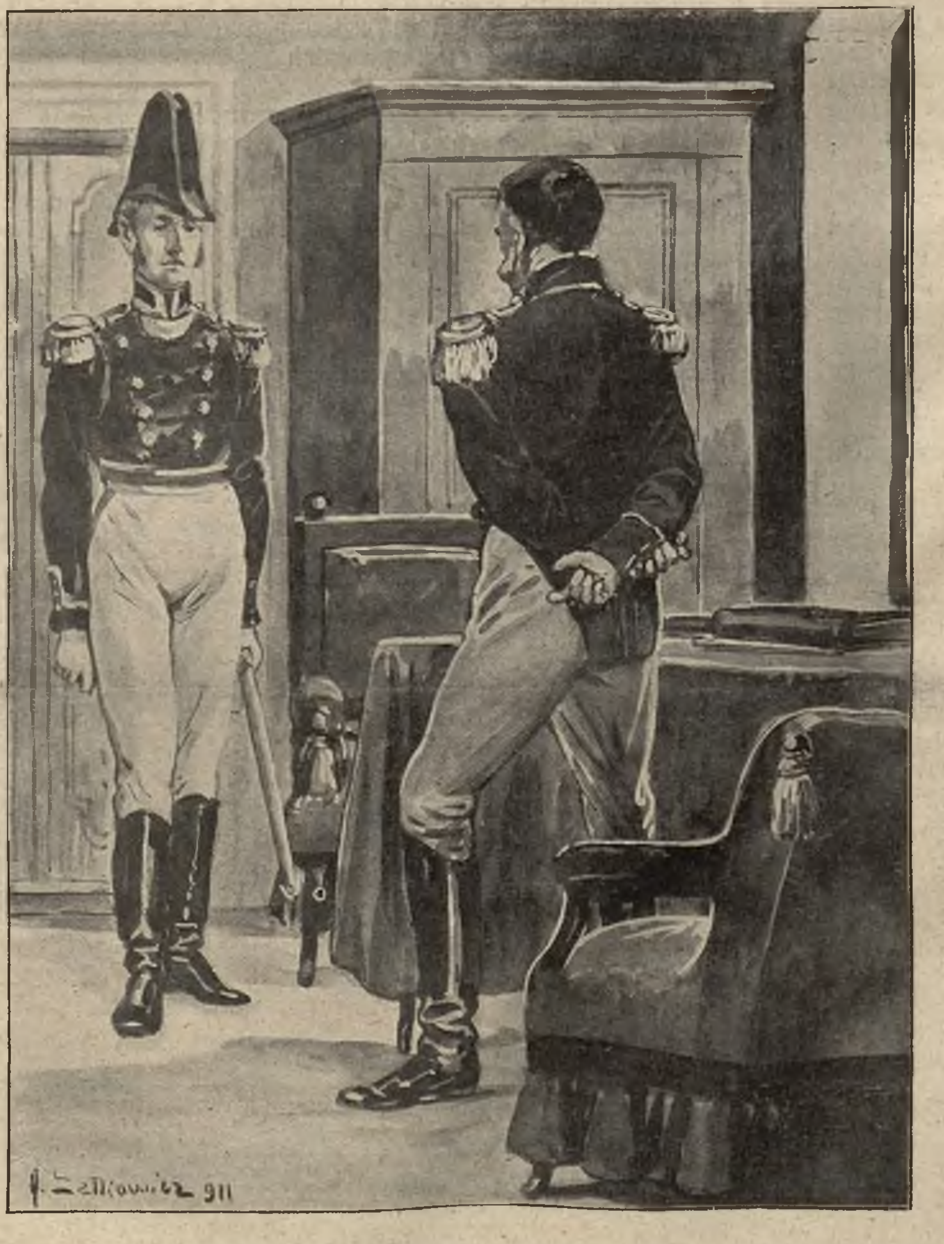
Łuba w lot pojął intencye Skrzyneckiego.

— To się wie, wodzu miłościwy, baczyć, co zamierzają! Ho ho, nie zwiodą mnie. Rany Chrystusa, żeby przyszło gardło dać, wypatrzę!

— Tylko mi się asan na hazardy nie puszczaj! Bo i życia twego szkoda i sprawy!

— Wodzu miłościwy, byle nie życia, bo jego psie prawo za ojczyznę zmarnieć.

— Poczciwie, mój Łubo, rezonujesz! I da Bóg, że ci tego nie zapomnimy.



Skrzynecki skinął niedbale w odpowiedzi na ukłon.

— Najlepsza moja nagroda będzie, jak Moskalów co do nogi...

— No no! Więc ostrożnie sobie poczynaj.

— Słucham pokornie. Już wiem, jak z nimi. Za swego mnie mają. Ho ho! Nowin im przyniosę. Powiem, że ci całki nasz korpus ruszył brzeskim traktem, musi Rosena dobywać.

Skrzynecki nieco się zmieszał.

— Jakże to?... Chcesz uprzedzić!?...

— Inaczej niepodobna, wodzu miłościwy! Kozunie myszkują i beze mnie duchem wiedzieć będą, że wojsko maszeruje. Gdybym więc zmilczał, mieli by mnie w podejrzeniu. A kiedy im ziarnko prawdy rzucę, to taka ich chciwość bierze, że potem cyganić mogę, ile ozór namleć zdoła.

— Masz słuszność! Kręć, ile się da, że niby to mamy plan na Ostrów zawrócić i na tyły wpaść, że do generała Giełguda wysłaliśmy tajemnicze rozkazy. Byleś pozoru nie dał, że na Lublin patrzymy... Hm, bo... właściwie ani nam się nie śni... ale mówię acanowi, abyś wiedział, w którą stronę konceptu zażywać.

Łuba mrugnął domyślnie podpuchniętemi oczkami.

— Byleś mógł wrócić rychło.

— Duchem się uwinę. Jeżelibym nie nadjeżdżał, to znak, że nic nowego.

— Czekaj acan, jest dla cię sto złotych w sztabowej kasie.

— Rany Chrystusa, wodzu miłościwy, gdzieżbym śmiał!

— Nie godzi się, byś jeszcze uszczerbek ponosił.

— A od czego Moskale!

— Bierzesz od nich?!

— Inaczejby mi nie wierzyli! Rany Chrystusowe, i nie żałuję ich! Ho-ho! A im więcej im nabełtam, tem więcej rublów sypią.

Skrzynecki po wyprawieniu Łuby na przeszpiegi do obozu rosyjskiego do reszty zagospodarował się w Siennicy. Stanowisko miał zaciszne i mocno ubezpieczone. Raporty nadchodziły pomyślne. Turno z dywizyą kawaleryi parł na Łuków, Jankowskiemu drogę torując. Ramorino był już w Bobrownikach. Z jednym tylko Chrzanowskim były kwasy, bo w odpowiedzi na rozkaz przebicia się na Wołyń odrzekł, że musi mieć po temu zmiażdżonego najpierw Rüdigera i czternaście tysięcy żołnierza. Ale że Skrzynecki sam w gruncie przekonania do wyprawy na Wołyń nie żywił, przeto zadowolił się rozkazem, aby Chrzanowski z Zamościa wyszedł dla przecięcia odwrotu szczątkom korpusu Rüdigera... I to raczej dla przesadzonej ostrożności, bo Rüdiger był skazanym na śmierć.

Jakoż i sam skazaniec nie wątpił o losie, który go czeka, bo w kilka godzin po odebraniu wiadomości o przeprawieniu się Ramorina pod Gołębiem wyrwał się z Lublina, niby zwierz zaskoczony w legowisku odgłosem naganki i szedł na linię strzałów, szedł na myśliwych wprost, bo tu jedynie mógł liczyć na możność przebicia się, wyślizgnięcia. Za plecami bowiem groził mu Zamość, do pleców również dobierać mu się chciał i Ramorino i oddział zbrojny, który z pod Kazimierza się skradał. A gdyby nawet, gdyby zdążył się cofnąć w stronę Wołynia, to jeno tem pewniejsza czekałaby go zguba. Kajzarow ze swojemi dwoma dywizyami nie uchroniłby go od pościgu, od klęski i od sromotnej dymisyi. Niechybnie, klęska zastawiała sidła na Rüdigera i od strony Łukowa, lecz nie hańba.

Tak mniemał Rüdiger. Ale nie tracił fantazyi. Słał kuryera za kuryerem do głównej kwatery hrabiego Tolla o odsiecz, o uczynienie dywersyi i wyglądał odpowiedzi. Odpowiedź nie nadchodziła. Kuryerzy przepadali. Natomiast podjazdy kozackie wracały zewsząd z wieściami o ukazywaniu się polskiej kawaleryi. Jedynym ratunkiem było zaatakowanie Ramorina, zanim ten zdoła odebrać posiłki.

Rüdiger chwili się nie wahał. Skręcił z Lubartowa w bok, na Michów, aby Wieprz przebyć i zwróciwszy się na lewo, dosięgnąć Ramorina, wtłoczyć go w kąt rozwidlenia między Wisłą i Wieprzem i tam, uwięzionego, zdziesiątkować.

Rüdiger ani domyślał się jeszcze istotnych arkanów zastawionych nań sideł.

Generał Tomasz Łubieński na głowie się postawił, aby pierwszy jego popis, w roli szefa sztabu głównego wypadł pomyślnie. Więc cichaczem o każdem poruszeniu uwiadamiał Prądzyńskiego, co moment rady jego szukał. Wynikała z tego mitręga, lecz plan, na ostrożności ex kwatermistrza generalnego, wychodził znakomicie.

Dzień siedemnastego czerwca był dla Łubieńskiego dniem zwiastującym niezawodne zwycięstwo. Rozkazy spełniono, co do joty.

Sierawski czuwał w Kałuszynie na rozdrożu między Warszawą i Siedlcami, gotów na obronę zagrożonego frontu. Skrzynecki z dwiema dywizyami rezydował w Siennicy. Ramorino szedł brzegami Wieprza do Podlodowa. Jankowski z Rybińskim czekali w Wodyniach na sygnał do ruszenia w dwie przeciwne strony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Stulecie „Gazety Lwowskiej“.

W dniu 1 kwietnia upłynęło 100 lat od chwili ukazania się pierwszego numeru urzędowej „Gazety Lwowskiej“, dziennika wychodzącego do dziś dnia we Lwowie, obecnie pod redakcyą znakomitego powieściopisarza i literata, radcy dworu Adama Krechowieckiego.

Losy „Gazety Lwowskiej“ były bardzo rozmaite w ciągu całego stulecia jej istnienia. Dziś jest ona pismem, prowadzonem znakomicie, interesująco i w dziale zwłaszcza literackim przewyższa niemal wszystkie inne dzienniki polskie.

Z okazyi pamiętnej rocznicy otrzymała redakcya „Gazety Lwowskiej“ cały szereg życzeń i gratulacyi, między innemi i od towarzystwa dziennikarzy polskich, oraz od bardzo wielu redakcyi pism polskich.

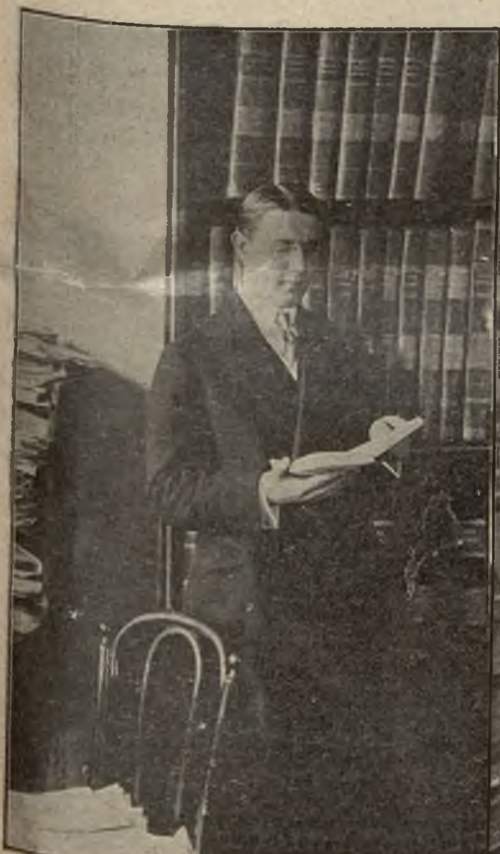
Do życzeń tych i my się niniejszem przyłączamy, zamieszczając w niniejszem numerze portrety współredaktorów „Gazety Lwowskiej“.



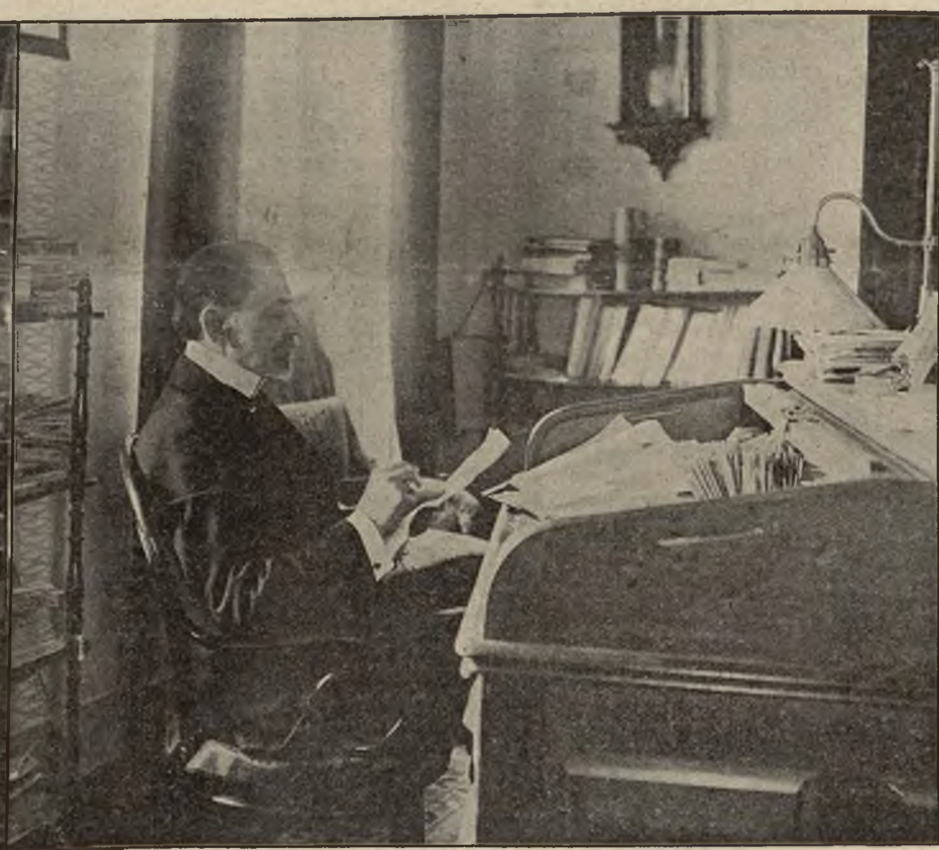
Stanisław Rossowski.



Artur Schröder.



Juliusz German.



Redaktor naczelny, prezes tow. dziennikarzy, radca dworu Adam Krechowiecki.



Michał Rolle.



Kierownik administracyi, radca Władysław Nowicki.



Władysław Staniszewski.

(Fot. M. Münz, Lwów).

Kronika tygodniowa.

Skończyła się nareszcie chole... — chciałem powiedzieć: skończyły się nareszcie wybory do rady miejskiej. Kto je wynalazł, oby przez całą wieczność pisał artykuły o wyborach. Nic gorszego mu nie życzę, bo naprzód i to już wielka kara, a powtóre poczciwiec ten myślał zapewne, że uszczęśliwi ludzkość, że wyborcy będą kierować się własnem zdaniem i wybierać ludzi najlepszych, tęgich w głowie, uczciwych w sercu. Gdyby biedaczysko ożył, przekonałby się nie po raz pierwszy, że ludziska z najpiękniejszej rzeczy umieją zrobić brzydką, z najmądrzejszej najgłupszą. Bo zdawałoby się, że wyborcom iść będzie jedynie o dobrą gospodarkę, bo im lepiej będzie gminie, tem lepiej będzie jej mieszkańcom. A tymczasem jedni wyborcy wyszukują zakazanego kołtuna, aby ich reprezentował; drudzy oddają głos aferzyście z pod ciemnej gwiazdy, bo spryt jego podziwiają; inni znowu sądzą, że główną kwalifikacyą do Rady są literki „c. k.“, postawione przed oznaczeniem zajęcia kandydata; tamci znowu mózgi kandydatów oceniają podług wielkości ich kamienic, lub wysokości ich dochodów. Ale najwięcej jest wyborców takich, co nikogo sami nie wyszukują, nikogo nie oceniają, nie ważą, nie podziwiają, tylko oczekują, aż im ktoś napisze, na kogo głosować mają. I zdaje im się, że postępują ogromnie rozumnie, strasznie politycznie, kiedy innym za siebie myśleć dają. Dzięki takim Abderytom, kretynom z urodzenia lub dla miłego spokoju, nie tylko znajdują się na listach wyborczych kandydaci, co wstręt, a częściej śmiech wzbudzają, ale są całe listy ułożone tak, że wołają o pomstę do zdrowego rozsądku.

Czy nie był to np. wielki żartowniś, który na jednej liście umieścił obok siebie JE. Antoniego Wodzickiego, jenerała demokracyi dra Doboszyńskiego i szefa sztabu konserwatystów rejenta T. Starzewskiego, dodając im do kompanii demokratę mieszczańskiego, konserwatystę żyda i weterynarza. A przecież to była lista partyjna, urzędowa lista demokracyi mieszczańskiej. Firmę tej fabryce dali dwaj budowniczowie, którzy polecenie głosowania za nią podpisali. A dla większej humorystyki jeden z tych budowniczych, prezes komitetu wyborczego, jest... Czechem. Zdawałoby się, że tego żartu primaaprilisowego nikt nie weźmie na seryo, a przecież cała lista przeszła czterema piątemi głosów. Więc cztery piąte wyborców należą do stronnictwa rydzyńsko-demokratyczno-konserwatywno-mieszczańsko-żydowskiego!

Sam wybór JE. Wodzickiego musi głęboko zastanowić. Czytelnicy wiedzą, jak kronikarz zapatrywał się na sprawę rydzyńską, ale gdyby nawet należał do obrońców JE. Wodzickiego, to musiałby przyznać, że sprawa jeszcze się toczy, a więc hr. W., choćby był niewinnym, jest jeszcze obwinionym. Wszak Koło polskie w Petersburgu jeszcze nie odebrało sprawozdania od komisyi, która rozpatruje sprawę rydzyńską — wszak świeżo dopiero złożono sąd honorowy nad udziałem w tej sprawie dra Loewensteina, adwokata hr. Wodzickiego. I w takiej chwili wyborcy krakowscy obdarzają równem zaufaniem ową Ekscellencyę, jak pięciu innych obywateli, którzy mogą się komuś podobać lub nie podobać, ale nie mieli w swem życiu Rydzyny.

A jednak dobrze, że już kończymy z tą dżumą, albo „bagnem“, jak się wyraża dr Gross w swym *Tygodniku*. Piszę: kończymy, a nie: skończyliśmy, bo w chwili kiedy płodzę niniejszą kronikę, jeszcze tak zw. inteligencya przechodzi bóle porodowe wyborów. Walczące ze sobą komitety, demokratyczny i urzędniczy, posiadają już czterech wspólnych kandydatów, a jak mnie zapewnia osoba blisko tych komitetów stojąca, w ostatniej chwili ma wyjść poufny rozkaz od prowodyrów do potulnych wyborców, aby jeszcze drugich czterech kandydatów uznali za wspólnych. Takie rozwiązanie zupełnie odpowiadałoby odgrywanej farsie pióra hofrata Bilińskiego.

Ale farsą w wyższym stylu, właściwie komedyą, będą dopiero wybory do parlamentu. Wyznaczono je w Galicyi na dzień 13 czerwca, zapomniawszy widać, że trzynastka jest liczbą „pechową“. Ale choćby wybory odbyły się 11 czy 12 czerwca, jestem spokojny, że pech galicyjski i tak w pełnej sile wystąpi. Wątpię, czy jest kto, coby sobie chwalił ostatni skład Koła polskiego, ale obym był fałszywym prorokiem, twierdząc, że nie będzie lepiej, a może być gorzej. Choćby ubyło parę „gwiazd“ w rodzaju Paduchów, Szpondrów, Stohandlów i t. d. — bo nie chcę dalej wyliczać, aby nie opuścić przypadkiem jakiej zacnej duszy — choćby tych gwiazd nieco ubyło, znajdą się inne, bodaj czy nie w lepszym gatunku. Bo dobry przykład znajduje naśladowców, do gotowych wzorów łatwo się dostosować. Co do Krakowa, którego posłowie zyskali sobie sławę światową „złotem milczeniem“ i wojenną marynarką, ma zajść w połowie wymiana mózgów. Należałoby się z tego cieszyć, bo o gorsze (z wyjątkiem jednego) doprawdy trudno, a jednak trudno pozbyć się obawy, że jak zaczniem szukać i wybierać, to wpadniemy z deszczu pod rynnę. Już to taki krakowski los garbaty, że co wybory, to gorsi posłowie. Widocznie grunt wyjałowiony, więc plon coraz marniejszy. Trzebaby jakichś nowych gospodarzy, coby zmienili system uprawy roli i do lepszych doprowadzili wyników.

Zmienił swój system hr. Józef Potocki. Był bardzo głośny jako myśliwy afrykański, jeszcze głośniejszy z olbrzymiej przegranej w klubie wiedeńskim. Nie odznaczył się jako poseł do Dumy, owszem poglądami, w niej wypowiedzianymi, sprawił nam niemiłą niespodziankę. Ale wycofał się z polityki, nie nastaje już na życie lwów i tygrysów, a i o jego występach gościnnych w klubach zagranicznych oddawna nie było słychać. Umilkł — i to już było dobrze. Ale obecnie znów się odezwał i to w sposób, że *chapeau bas!* Nabył za dwieście i coś tam tysięcy rubli spory gmach w Warszawie i ofiarował go warszawskiemu Towarzystwu przyjaciół nauk. Brawo! Brawo! bardzo ładnie panie hrabio. Klaskalibyśmy ci szczerze, bez przypominania dawnych grzeszków, gdyby nie nasza nieszczęsna przesada. Niektóre dzienniki warszawskie olśnione tak były tym darem, że pisały dytyramby na cześć hrabiego Potockiego takie, jakby był drugim Staszicem. Z mówców na obiedzie przez niego danym, jeden był „dumny, że znalazł się mąż, który...“ drugi chciał, aby „każde jego słowo miało ogromną słodycz głębokiej wdzięczności“ i wołał, że dziś, dzięki ofiarodawcy, Warszawa zamienia się w „Jasnogród“ (Stan. Potocki, dziad hr. Józefa, nazwał Warszawę Ciemnogrodem). Ta przesada musiała wywołać reakcyę i dziś jedni, chwalący ten czyn społeczny, zowią go jednak ekspiacyą za to, że hrabia nic przedtem nie zrobił, a drudzy ekspiacyą za to, że hrabia dawniej źle robił. Co najmniej bezkrytyczni chwalcy powinni byli pamiętać, że na parę tygodni przed ofiarą hr. Potockiego, księżna Michałowa Radziwiłłowa dała milion rubli na szkołę polską. A czemuż nie było nawet dziesiątej części tych zachwytów? A mieszczanka Roeslerowa, która dała przed miesiącem tyleż, co hr. P. na cele publiczne? Co prawda — obiadu nie było.

Ale bądź co bądź — przesada nie przesada — należy się szczere uznanie hojnemu mecenasowi nauki. Wiadomość o jego ofierze to jedna z tych dobrych wieści, które dochodzą nas z Warszawy.

Można dobrą wieścią z Warszawy nazwać upadek Momusa i złote słowa, jakie z tego powodu napisał *Kuryer warszawski*. Fejletonista Drzazga „z uczuciem pewnej ulgi“ stwierdza ten upadek. „Dobrze jeszcze pamiętamy — pisze — dumny gest tych pretensyonalnych panów, którzy nie mając dosyć odwagi na rzetelną satyrę... rozdawali sobie na każdej premierze wieńce i patenty na geniusz“. Tworzyła się megalomania. Dziś do tych panów można powiedzieć: „Bawiliście nas piosenkami, kalemburami i dowcipami niekiedy udatnymi. Spróbujcie przemówić teraz inaczej, bo moglibyśmy przypuszczać, że za fanfaronadą satyryczną i gestem pogardy dla filistra, ukrywa się dyskretnie niemoc i pustka bezpłodna“.

Kabaret literacki stał się u nas niestety wszystkiem — cała prasa zajmowała się nim więcej niż poezyą, literaturą, nauką, sztuką. A rękę do tej reklamy przykładali nawet poważni dziennikarze i literaci. Ba! kabaret ma nawet opiekunów w wysokich dygnitarzach — oto świeżo donoszą z Wiednia, że nad urządzeniem go pracuje wybitny polski dygnitarz, radca dworu!

Na kabaretach tłumy — na odczytach pustki. „Straż polska“ urządziła ich szereg, poruszając sprawy bardzo ważne i żywotne. Mówiono, jak mamy ratować czechizowany i germanizowany Śląsk, zastanawiano się nad najważniejszemi zadaniami narodowemi, mówiono o czystości języka, o Muzeum raperswillskiem — i to wszystko działo się przed pustemi krzesłami.

A o Raperswill jest teraz sporo hałasu. Gdyby połowa tego była prawdą, co mówią i piszą o jego kustoszu p. Rużyckim, jużby należało komitetowi Muzeum położyć koniec tej gospodarce. Wina tu główna rady nadzorczej, która nie spełnia przyjętych obowiązków. Ale bo też ta rada jest rozproszona i posiada w łonie swojem paru ludzi całkiem nieodpowiednich. Swoją drogą, na mniejsze rozmiary i gdzieindziej tak samo się dzieje jak w Raperswillu. Są i gdzieindziej znawcy, jeżeli nie od siedmiu, jak p. Rużycki, to od pięciu przynajmniej boleści.

Od znawców, innego wprawdzie rodzaju, zależeć będzie, kto obejmie teatr krakowski. Chodzą pogłoski, że los uśmiechnie się p. Bandrowskiemu, coby znaczyło, że nietylko dramat będzie lokatorem na placu św. Ducha. Inni twierdzą, że p. Solski przyrzekł lepiej się sprawować i że ktoś mu przyrzekł poparcie. Kronikarz nie wyraża swoich sympatyi, bo jak tylko kto raz wpadnie w sympatyę teatralną, ten jest już człowiekiem na pół straconym: światło kinkietów mąci mu wzrok, zapach kulis rozstraja nerwy, a przytem zyskuje od razu całe tuziny wrogów i wrogiń, którzy i które robią mu życie ponurym dramatem.

Lepiej już bawić się w wybory. Na początku kroniki zaznaczyłem, iż pewne dane przemawiają za zbliżeniem się dwu zasad, dwu wrogich komitetów wyborczych z inteligencyi. Jeszcze nie miałem czasu skończyć kroniki, a te słowa moje stały się ciałem. Wprawdzie oba komitety, dla zachowania pozorów, obstają przy swych kandydatach, ale nagle w przeddzień wyborów zabrał głos komitet mieszczański i woła: pogódźcie się dziatki, ja wam to ułatwię. Co mają mieszczanie do koła inteligencyi, skąd p. Beringer, prezes klubu mieszczańskiego, ma prawo układać listę, a tem samem wtrącać się do nieswojej rzeczy, to sprawa inna. Dość, że wtrąca się, że pakt tajnie zawarty między wrogami, on wyborcom obwieszcza. Nie ulega wątpliwości, że staje się to za zgodą jenerałów obu walczących komitetów. I stanie się wielkie „wykiwanie“ urzędników, którzy ze swoich właściwych kandydatów przeprowadzą trzech najwyżej. Tyluż byliby przeprowadzili, gdyby się odrazu porozumieli z komitetem demokratycznym. Naturalnie będzie się blagować, że obie strony nie ustąpiły ani kroku. Z blagą taką jesteśmy już tak otrzaskani, że nawet nikt się nie roześmieje głośno, kiedy pewien prowodyr urzędników, wielki antysemita, tłómaczy postawienie na liście urzędniczej p. Sarego jako konieczność narodową, bo przez przyjęcie tej kandydatury (słuchajcie!) pozyska się żydów we wschodniej Galicyi dla kandydatów polskich przy wyborach do Rady państwa. Czego jak czego, ale fantazyi nam nie braknie. Dawniej od wielkiego łgarstwa ściany schły, dziś gorzej, bo schną mózgi tak zwanej inteligencyi.

Zakończmy kronikę humorystyką „mimo woli“.

Wynaleziono środek na pogrążenie w nicości socyałów i zaszczepienie jednoczesne austryackiego patryotyzmu. Na konferencyi szkolnej okręgowej w Wiedniu jakiś patryota wystąpił z wnioskiem, aby nauczyciele do poprawiania zeszytów używali atramentu żółtego, nie czerwonego, bo kolor czerwony to kolor socyałów, a żółty kolor przy czarnym da austryackie barwy państwowe. Dziś dzieci przyzwyczajają się do koloru czerwonego i idą w socyalisty, atrament żółty zaś wpajałby w nich od młodości uczucia patryotyczne. — W innym duchu i oczywiście z ironią przemawiał świeżo w parlamencie niemieckim socyalistyczny poseł Liebknecht, radząc rządowi aby zniósł order orła czerwonego, „bo my przy tej barwie nazawsze pozostaniemy“.

Zgon wybitnego aktora.

Teatr polski dotkliwą i bolesną poniósł stratę. Zmarł bowiem w bieżącym tygodniu jeden z najwybitniejszych polskich aktorów, Seweryn Nowicki, artysta teatru „Rozmaitości“ w Warszawie.

S. p. Nowicki był chory od dłuższego czasu i celem poratowania zdrowia wybrał się na dłuższy wypoczynek i kuracyę na Rivierę. W drodze jednak stan jego zdrowia gwałtownie się pogorszył i w miejscowości Fulda nastąpiła katastrofa.

Przedwczesny zgon Seweryna Nowickiego wywołał szczery żal i współczucie w sferach teatralnych, zwłaszcza w Warszawie, zmarły bowiem był siłą bardzo cenioną z powodu wysokich zdolności. Pracował od długiego szeregu lat w „Rozmaitościach“ w Warszawie, grywając przedewszystkiem role amantów i bohaterów. Doskonałe warunki zewnętrzne, sympatyczny i dźwięczny głos przy wielkim talencie pozwoliły ś. p. Nowickiemu wysunąć się na jedno z pierwszych miejsc wśród drużyny artystycznej warszawskiej.

Najnowsza operetka Falla.

Świeżo wystawiono w teatrze miejskim we Lwowie i w „Nowościach“ w Warszawie operetkę Falla „Panna z lalką“. Wielkie powodzenie, jakiem się cieszy ta operetka w Warszawie (9 przedstawień z rzędu przy zamkniętej kasie), to zasługa artystów i świetnej reżyseryi p. Śliwińskiego. Z wykonawców na plan pierwszy wysunęła się świetna primadonna, ulubienica publiczności warszawskiej, p. Lucyna Messalówna. Święciła ona wielki i zasłużony tryumf. Śmiało można o Messalównie powiedzieć, że jest obecnie jedną z pierwszych gwiazd operetkowych. Nadto znacznem powodzeniem cieszyli się: p. Brzozowska (rola tytułowa), śpiewała ona ładnie, grała milutko, oraz pp. Szczawiński, Krzesiński, Redo i Morozowicz. Wszyscy oni stworzyli doskonałe, pełne wyrazu i humoru bajecznego typy.

Aresztowanie ptaka niebieskiego.

(Do illustracyi na str. 7).

Swego czasu zniknął był z Warszawy, jak czytelnicy pisma naszego zapewne pamiętają, niejaki Antoni Zgórski, który przez dłuższy czas prowadził życie hulaszcze, a w braku innych środków po temu, popełniał rozmaite oszustwa. Podobizna sympatycznego złotego młodzieńca „ozdobiła“ była ówczas jeden z numerów naszego pisma.

Po roku powzięła krakowska policya podejrzenie, że Czesław Gaszyński, dzierżawca Płaszowa, osobistość znana w krakowskim świecie i półświatku, nie jest nikim innym, jak tylko tym samym Zgórskim. Energicznie prowadzone przez komisarza Krupińskiego śledztwo potwierdziło te domysły. Wyszło również na jaw, że podpisy kilku poważnych obywateli z za kordonu, którymi Gaszyński zabezpieczył kaucyę dzierżawną, były sfaszowane i że



Zgon wybitnego aktora: Ś. p Seweryn Nowicki

podpisująca mu weksle żona Karolina Gaszyńska była postacią mityczną.

Wobec tego aresztowano oszusta, a rezultaty śledztwa odstąpiono prokuratoryi. Masa spadkowa ś. p. Czecza, do którego należał Płaszów, nie poniesie żadnej straty.

Dodać należy, że identyczność Gaszyńskiego ze Zgórskim stwierdzono na podstawie fotografii, podanej przez *Nowości illustrowane* w jednym z numerów z marca zeszłego roku.

Katastrofa budowlana we Lwowie.

Dzienniki lwowskie donoszą co parę dni o nowej katastrofie budowlanej. Walą się to nowo budowane domy, jeszcze nie doprowadzone do dachu, to dla odmiany stare rudery, opróżnione już, ale jeszcze nie rozebrane.

Widok takiej zawalonej kamienicy przedstawia załączona illustracya. Nie mieszkano w niej od pół roku, a policya kilkakrotnie zwracała dotyczącej komisyi magistratu uwagę na możliwość wypadku. Ponieważ jednak komisya ta sprawę stale odkładała, postawiono przy zagrożonym domu policyanta, który miał czuwać, ażeby obyło się przynajmniej bez ofiar w ludziach.

Ostrożność ta okazała się pożyteczną, gdyż przed paru dniami rudera zaczęła się walić. Kapral policyi Szczerbicki uprosił paru przechodniów, żeby nie pozwalali się nikomu zbliżać i telefonicznie zażądał pomocy. Tymczasem jednak trzecia część domu runęła, zasypując gruzami całą szerokość ulicy Wagowej.

Tylko przytomności umysłu dzielnego policyanta należy przypisać, że katastrofa nie miała następstw groźnych dla życia lub zdrowia ludzkiego.

Szpital Bonifratrów w Krakowie.

Szpital Bonifratrów w Krakowie wydał sprawozdanie ze swojej działalności w roku ubiegłym. — W sprawozdaniu przytoczono wymowne cyfry, oświetlające humanitarną działalność skromnych zakonników. W ubiegłym roku leczono w zakładzie ogółem 1768 chorych. Szpital opuściło: wyleczonych 1241, z polepszeniem 243, nie wyleczonych 59, zmarło 120, razem 1664 chorych. Na rok 1911 pozostało w leczeniu 104 chorych. Chorzy przebywali w szpitalu ogółem 30640 dni, przeciętna zaś ilość dni leczenia każdego chorego wynosiła 17·33 dni. Ogólny procent śmiertelności wynosił 6·8% — po odtrąceniu zaś zmarłych na gruźlicę 48 chorych, na uwiąd starczy 10, choroby serca nieuleczalne 19, nowotwory 9, przywiezionych w stanie konania 2, — procent śmiertelności wynosił z pozostałej liczby leczonych 18%. Chorych na gruźlicę pozostało w leczeniu 15 na rok 1911.

Ambulatorya szpitalne udzieliły bezpłatnej pomocy lekarskiej 36637 chorym, z której to pomocy korzystali w 17422 wypadkach mieszkańcy Krakowa, w 11116 wypadkach mieszkańcy Podgórza, zaś w 8099 wypadkach tak mieszkańcy okolicznych miejscowości jako też i pobliska ludność Królestwa Polskiego. W ogólnej liczbie ambulantów było 2811 żołnierzy. Na oddziale chirurgicznym wykonano 862 operacyi. Lekarstw zaordynowano w ciągu roku 28464 w łącznej wartości 4322 kor. 16 hal. opatrunki chirurgiczne wynosiły sumę 5021 k. 23 hal.



Najnowsza operetka Falla: Messalówna i Szczawiński.



Najnowsza operetka Falla: Krzewiński w roli dyrektora Talmy.



Najnowsza operetka Falla: Messalówna i Szczawiński.



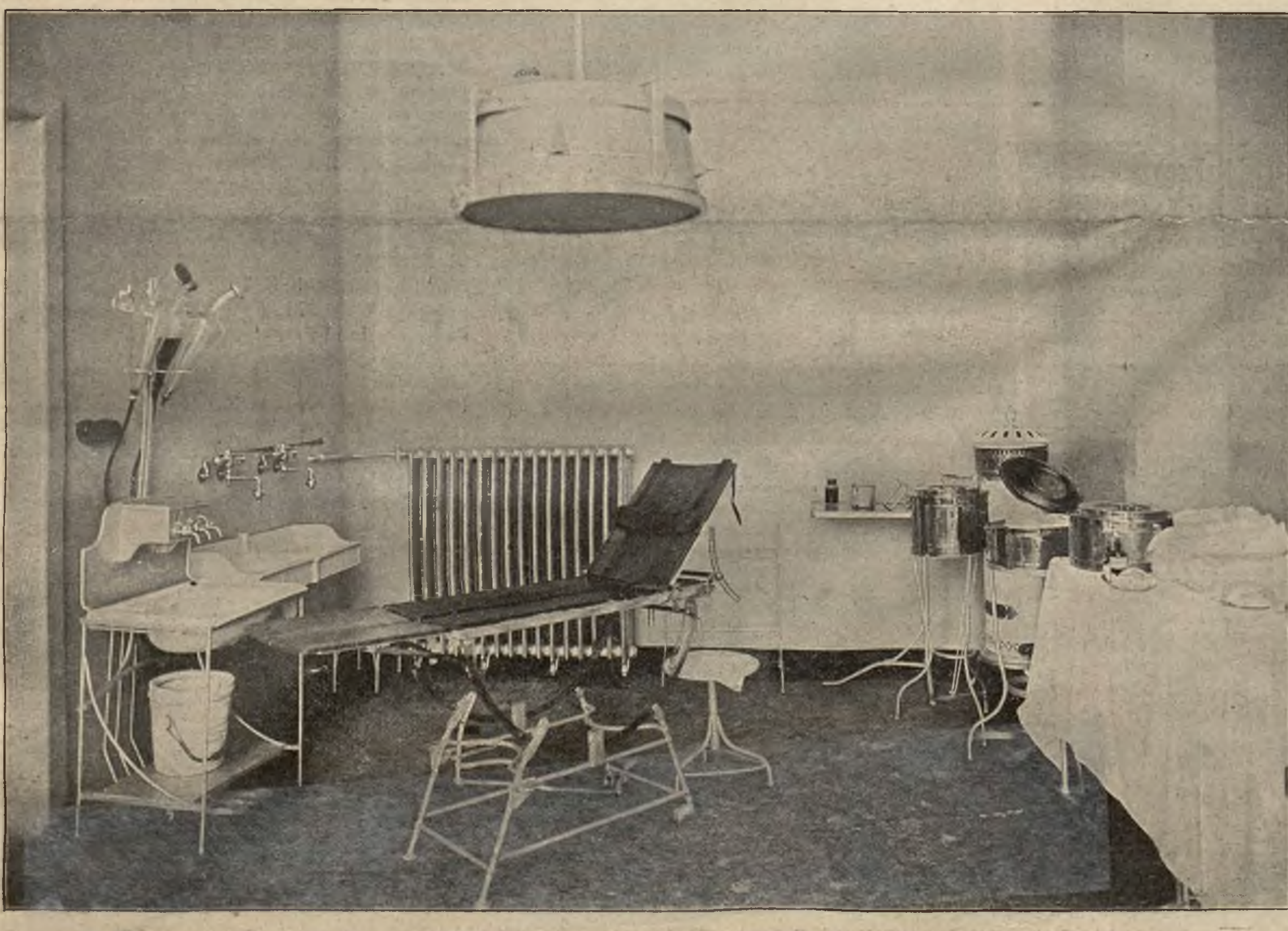
Katastrofa budowlana we Lwowie: Widok miejsca katastrofy (Fot. M. Münz, Lwów)



Najnowsza operetka Falla: Messalówna i Krzewiński.

Zaznaczyć należy, że napływ ubogich chorych, największych nieraz nędzarzy i pozbawionych pracy robotników, znacznie się powiększył w roku ubiegłym. Było ich więcej o 239 aniżeli w roku poprzednim. Niestety, zakon Bonifratrów, rozwijając tak wielką działalność i opiekując się ubogimi chorymi, walczy z brakiem środków na codzienne potrzeby. Konwent skazany jest po największej części na publiczną ofiarność całego kraju, gdyż otrzymywane subwencye jakoteż skromny prywatny majątek klasztoru nie wystarczają na opędzenie najkonieczniejszych potrzeb szpitala, a w obecnych czasach wielka drożyzna środków spożywczych i opału, jakoteż niekorzystne położenie gospodarcze ludności krajowej, wpływają w wysokim stopniu niekorzystnie na kwestę, oprócz tego wszystkiego ciąży jeszcze ciągle na nowym gmachu szpitala jubileuszowego dług w kwocie przeszło 30 000 kor. jak również bezzwłoczna potrzeba gruntownej naprawy zarysowanych sufitów w niektórych salach szpitala, wynikłych z powodzi, zaszłej wskutek pęknięcia rury wodociągowej.

Wobec tego Bracia Miłosierdzia krakowscy proszą o poparcie i ofiarność na cele tak szlachetne jak opieka nad ubogimi chorymi. Prośba nie pozostanie zapewne bez echa.



Szpital Bonifratów w Krakowie: Sala operacyjna szpitala.

Z półek księgarskich.

Przodownica. Pismo dla kobiet. Wychodzi w połowie każdego miesiąca w Krakowie pod redakcyą Maryi Siedleckiej. Zeszyt 1. 2. i 3. za miesiąc styczeń, luty i marzec r. 1911. zawiera szereg artykułów dobranych bardzo stosownie dla klasy pracującej, dla której jest przeznaczony.

Zamiast oceny lub reklamy dla tak pożytecznego pisma wystarczy wspomnieć, iż król. pruski sąd krajowy w Bytomiu, na posiedzeniu w dniu 23. listopada 1910 wydał wyrok zabraniający na całym obszarze ziem państwa niemieckiego nietylko rozszerzania, ale posiadania lub przechowywania „Przodownicy“, a także klisz, lub złożonych artykułów do jej wydania użytych, a to dlatego, ponieważ numer jej grunwaldzki nietylko głosi chwałę tego zwycięstwa, ale przedstawia Prusaków jako gnębicieli i ciemięzców, opowiada o katowaniu dzieci polskich przez niemieckich nauczycieli, zachęca do bojkotu towarów pruskich, do pracy nad odrodzeniem Ojczyzny, a budząc nadzieję, że doczekamy jeszcze „nowego Grunwaldu“, szerzy nienawiść do wszystkiego, co jest niemieckie.

Celem pisma, wychodzącego w Krakowie już rok dwunasty, jest: budzić w duszy kobiety polskiej zdrową myśl, w sercu jej miłość Boga, Ojczyzny i bliźnich, usposobić wolę do dobrego, zachęcić i wskazać drogi rozumnej, zacnej pracy w rodzinie i społeczeństwie. Niesie ono też pod strzechy wieśniacze promienie światła i poezyi, karty z dziejów Ojczyzny, przesuwa przed oczyma obrazy bohaterów, wspomnień historycznych, a uwzględniając potrzeby życia codziennego, podaje szereg rad gospodarskich, artykuły z nauki o wychowaniu młodzieży i pielęgnowaniu zdrowia.

Adam Szymański: **Aksinja.** Opowiadanie z życia moskiewskiej Lechji. Kraków. Drukarnia Uniwersytetu Jagiell. pod zarządem J. Filipowskiego. 1911. Cena 2 K = 80 kop.

Nader zajmujące opowiadanie z życia ludności zamieszkującej niegdyś niezmierzone, a i dziś jeszcze imponujące rozległością swą lasy na linii granicznej zlewów Dniepru i Wołgi. Przechowały się tutaj do dnia dzisiejszego stare zwyczaje i obyczaje a miejscowa ludność, jak wyraża się Autor jest niewątpliwie nieodrodną krwią krwi i kością kości starego lackiego rodu, o którym już Nestor mówi w swej kronice:... a nad Desną i Sejinem osiedli Radim i Wjatka z rodami swymi, są zaś oni lackiego rodu.

Jan Szymański: **Przeciwnicy Trzeźwości.** Kraków. 1911. Drukarnia „Głosu Narodu“. Cena 30 hal.

Broszurka na czasie, mająca na celu walkę z alkoholizmem i omawiająca stanowisko prasy polskiej w tym względzie.

Głosy publiczne.

Zmiana nazwy stacyi: Dotychczasowa nazwa stacyi Andrychau, leżącej na szlaku Bielsko-Kalwarya, została z dniem 18 marca br. zmieniona na „Andrychów“.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 12.

Trójkąty magiczne:

K a r n a w a ł
A n d r z e j
R a m z e s
N u r e k
A l b a
W a ł
A s
Ł

P
P o
P o p
K o k i
I n d y e
A m i d o l
P o m o r z e
P o p i e l e c

Zadanie do przestawienia: Świadczył się cygan swojemi dziećmi.

Zadanie przysłowiowe: Każda Teresa ma swoje interesa.

Zadanie do przestawienia: Nie kijem go, to pałką.

Logogryf:

G a w a l e w i c z
A r g o n a u c i
W a r s z a w a
A t e i s t a
L e l i w a
E t y k a
W a z a
I z a
C o
Z

Szarada: Maiaki.

Zadanie konikowe:

Przed chatą siedział staruszek sędziwy,
Jak szczapa wyschły, jak gołąbek siwy,
Ukrywszy lice w swoje dłonie obie,
Siedział na sosze i wciąż dumał sobie;
Dumał o życiu, co mu przeszło w pracy,
O wierze w Boga i o wiecznej płacy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Kaim Kraków, J. Lisowski Kołomyja, A. Balicki Tarnopol, S Bielawski Warszawa, T. Górski Lwów, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, S. Kowalówka Kraków, R Łopatkiewicz Sambor, M. Wyka Rzeszów, J. Zachara Drohobycz, J Kwaśniewski Piotrków, A. Bandrowska Częstochowa, K Świrski Sandomierz, W. Ostrowski Lublin, J. Więckowska Warszawa, M Pick Łódź, M. Wodziński Rzeszów, J. Czernecki Złoczów, K. Laurecki Sanok, M. Lemiszewska Stanisławów, J. Krysakowski Lwów, K. Gliński Kołomyja, J. Nowacki Radomyśl, S. Hubaczek Tarnopol, D. Sedyńska Kraków, J Popiel Lwów, R. Knapik Tarnopol, J Kopczyńska Bierzanów, K. Wiewiórowski Janów, W. Potocka Kraków, S. Wilczkiewicz Jasło. I Brzostowski Kraków, M Wojkowski Tarnopol, J. Bałuk Kraków, T. Broda Strzyżów, H Stopczyńska Lwów, M. Serwatowska Warszawa, J. Łopatyński Lwów, H. Zielińska Rzeszów, O. Górkowa Chyrów, H. Sontag Łódź, J. Bernstein Warszawa, J Hołubasz Stanisławów, K Suchecki Zaleszczyki, J. Stępień Budapeszt, T. Mazarski Radom, J Trepka Sandomierz, K. Lipowski Jasło, M. Dudek Cieszyn, H. Sperling Wiedeń, H. Gromnicka Lwów, J. Kopacz Lwów, Z Czarnowski Jasło, K. Lindenbaum Kołomyja, J Ohrenstein Czerniowce, W Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, J. Sapecki Poznań, J. Skalski Kraków, A. Stolarska Podgórze, S. Krzyżanowski Podgórze, F. Frankowicz Warszawa, S. Wasilewski Zakopane, J. Jaworski Husiatyn, J. Żugaj Rzeszów, J Dymnicki Tarnobrzeg, S Karwowski Poznań, H Komorowski Brzeżany, K. Cegielski Berlin, J. Cisowski Lwów, M Czernecki Rozwadów, W. Urban Lwów, J Wilkosz Rzeszów, H Morawska Rzeszów, M. Krawecki Rzeszów, J Klappholz Rzeszów, M Barnat Cieszyn, J. Jahoda Cieszyn, J Karliński Lwów, H Piątek Podwołoczyska, C. Zamorska Lwów, J. Grodecki Rzeszów, M. Waligórska Stanisławów, J. Antosz Kołomyja, J. Engelberg Rzeszów, M. Tuszyńska Kraków, L. Sobański Warszawa, F. Obraczay Przerów, H Rosenberg Łódź, K. Heller Kołomyja, H. Malinowska Winnica, J. Maciejowski Kamieniec, W. Thun Kalisz, M. Kalinowska Piotrków, M Tokarska Sambor, K. Dzikowski Tomaszów, J. Batko Muszyna, Z Łapiński Kraków, W. Olszańska Lwów, S Bukowski Kijów, J. Wołyniec Stanisławów. R Dąbrowski Janów, A. K. Tarnów, S. Faliszewski Baligród Z. Baranowski Widzew, K Fuchs Czeremchów, K. Turecka Tarnopol, M Serbeńska Budzanów

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Kowalówka Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Przewodnik dla krawców. W ubogiej naszej literaturze fachowej podręczników rękodzielniczych pojawiło się w ostatnim czasie dziełko p. t. **„Przewodnik dla krawców męskich i damskich“** ułożone i wydane przez p. W. Samarzewskiego, mistrza krawieckiego w Królewskiej Hucie na Górnym Śląsku.

Książeczka ta zawiera szereg dobrych praktycznych rad niezbędnych do rozsądnego prowadzenia technicznej i handlowej strony przedsiębiorstwa krawieckiego. Przebija się z niej obok głębokiego umiłowania swego zawodu ze strony autora, chęć udoskonalenia go i szczera troska o rozwój gospodarczy polskiego rękodzieła. — Szkoda tylko, że tu i ówdzie wkradły się do dziełka błędy językowe i że nie dość starannie przeprowadzono jego korektę.

Poradnik dla krawców p. Samarzewskiego powinien się znaleźć w rękach każdego polskiego krawca, w bibliotece każdego ze stowarzyszeń przemysłowych i Towarzystw Pomocy przemysłowej.

NADESŁANE.

Ze świata kobiecego.

Wiosna już na seryo zawitała do nas: słońce poczyna dogrzewać na dobre, kasztany na plantacyach miejskich, zwanych popularnie acz niesłusznie „Plantami“ („planta“ znaczyłoby chyba: roślina, a nie zbiór ich), poczynają okrywać się pąkami a krzaki z lekka już połyskują nikłą zielenią. Panie zrzucają



Rys. 1. Suknia wizytowa z garniturem z białej koronki.

przed kilku dniami jeszcze noszony cały arsenał zimowy a natomiast dążą procesyonalnie do największych naszych konfekcyjnych magazynów, szukać w tych arsenałach nowej broni do podboju płci t. zw. „brzydkiej“. Do którego z dostawców modnych wejdziesz — wszędzie pełno, trudno się docisnąć.

I my dążym za tłumną tą procesyą, aby ku pożytkowi i wygodzie Czytelniczek naszych z poza Krakowa, zebrać dla nich wiązankę informacyi o tem, co Kraków zgromadził pięknego w zakresie mody wiosennego sezonu.

Więc naprzód kostyum, ten kostyum angielski *tailleur*, który przedewszystkiem dzierży berło sezonu. Widzieliśmy w magazynie p. Schwarza śliczny model z wełnianego angielskiego materyału w czarne z białem wąziutkie paski. Spódniczka trzybrytowa z szwem na przodzie; bryt tylny od boków dołem rozcięty na 26—28 centymetrów, zaopatrzony w przystrój guzików i dziurek, odznaczonych cieniutką rolką czarnego aksamitu. Pomysł nowy a bardzo praktyczny, spódniczka taka bowiem, acz niesłychanie wąska, nie krępuje swobody ruchów. Niekiedy podszywa się ją od wewnątrz jedwabną falbaną, lub nosi z pod spodu jedwabną trykotową, bajecznie obcisłą i króciutką spodniczkę o wolancie z jedwabnej materyi, zastępującą wyszłą już z obiegu halkę. Żakiecik krótki, przedziwnie zgrabnego, całkiem odrębnego fasonu o plecach i rękawach krojonych z jednego z przystrojem na kołnierzu i rękawach z wąziutkiej listewki aksamitu czarnego i surowego jedwabiu koloru *lavande.* Stanik tworzy górą bluzkę kimono z takiegoż jedwabiu *lavande,* u szyi zakończoną w szmizetkę z białego haftu i tiulu, dołem jest z gazy w czarno białe paski, przystosowanej najdokładniej do wełnianego materyału. Całość robi wrażenie prostoty i bajecznej wytworności zarazem.

Niemniej piękny kostyum wiosenny oglądaliśmy w magazynie p. Grabowskiego: spodniczka z granatowego kamgarnu *diagonal* o tunice z odciętym dołem na jedwabiu. Zakończenie tuniki stanowi garnitur z taśm jedwabnych i szmuklerskich drobnych guziczków. Takież bolero, formy kimono, będące arcydziełem wypracowania, przystrój również z taśm i guziczków; szeroko odwinięte klapy z czarnego jedwabiu, w górze przecięte wypustką *bleu ciel*; tegoż koloru kamizelka z jedwabiu *otomane,* dołem przyozdobiona w przepiękny haft bretoński metalowy z perełek, którego motyw powtarza się na tylnej części kołnierza; rękawy półkrótkie, lekko kloszowe. Był to wytworny model paryski.

Bardzo ładny także był kostyum granatowy z frakowem bolero (Maison Schwarz) przybranie z ponsowego atłasu *à la postillon* z akselbantem na prawem ramieniu z takiegoż sznura o złotych iglicach; na tyle kołnierza na tle z atłasu złote metalowe klamry, łączone z sobą łańcuszkami. Całość wielce oryginalna.

W strojnych, jedwabnych sukniach wizytowych zauważyliśmy tamże piękne kostyumy. Jeden z czarnej tafty z przodem spódniczki gładkim, tył tejże był przyozdobiony w dwa słupy 6—8 cm. szerokie z tejże materyi drobno marszczonej i naciąganej w gęstych odstępach na wszyte sznureczki. Żakiecik bardzo krótki z marynarskim kołnierzem z białego chińskiego jedwabiu w obramowaniu z czarnego aksamitu; z pod tegoż dołem wychodziły drugie czarne klapy. U rękawów półkrótkich szeroko wywinięte sztylpy, z pod nich zaś idący ku górze gruby haft wschodni biało czerwony, wyszyty koralami.

Druga toaleta była wykonaną z granatowej materyi *doublé,* drobno paskowanej w lśniące i matowe paseczki, ze spodem *corail.* Bolero z odwiniętemi u kołnierza klapami koralowej strony. Za przystrój cały starczyły wyszyte z jedwabnego szutażu medaliony — granatowe na granatowem, koralowe tam, gdzie materya była odwiniętą.

Z płaszczy wiosennych, jakie używać będą tego roku bardzo, najbardziej podobał nam się w magazynie p. Grabowskiego długi nakrywający całą suknię z grubej czarnej grenadiny na takiejże jedwabnej mesalinie, z draperyą z szerokiego pasu czarnej mesaliny, ułożoną wedle rysunku togi rzymskiej, przerzucona przez lewe ramię, zakończona jest kwastem z czarnego jedwabiu.

Inny z takiejże grenadiny przezroczej w magazynie p. Schwarza miał za podkład materyał ze złotej koronki w metalowe drobne kwiatki, podszewkę stanowiła szmaragdowa gaza. Płaszcz ten dołem miał szeroką plisę z atłasu czarnego charmeuse, stanowiącą zakończenie wspaniałego jedwabnego haftu czarnego. Górny przystrój płaszcza zastosowany do dołu.

Dając niniejszy opis najpiękniejszych zdaniem naszem modeli miejscowych magazynów, które dal szym mieszkankom okolicy dać mogą wyobrażenie, o ile sądzim, dokładne o tem, co nosić się będzie w tym sezonie, dodać tu jeszcze winniśmy objaśnienie do naszych tegorazowych rysunków.

Rysunek 1. Suknia z lekko paskowanego jedwabiu Radium lub gładkiej *Crèpe de Chine* z za plisowanym dolnym wolantem; garnitur z białej koronki i jedwabnego *velour-mousseline,* przystosowanego do barwy sukni.

Rysunek 2. Strojna suknia z *Popeline de soie façonée* koloru *bleu général.* Stanik kimono jest zrobiony z lekkiego gładkiego jedwabiu, harmonizującego z barwą sukni. Pasek ułożony w fałdy z atłasu *bleu-général* zakończony z boku długą szarfą ze wstążki atłasowej, zakończonej szmuklerskiemi jedwabnemi *glands.* Plisy, tworzące podwójną tunikę, z boku przytwierdzone są takiemiż szmu



Rys. 2. Suknia strojna z *popeline de soie.*

klerskiemi ozdobami; mankiet rękawka naszyty plisami z atłasu *bleu-général.* *Mora*..

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

52

Natomiast Joe Smith odzyskał dobry humor. Rozbawiła go propozycya prezesa i jego przykry zawód. Dokończył butelki Lacrima-Christi i zaczął mówić:

— Zajęcie moje nie jest synekurą... Nie polega ono na prezydowaniu na bankietach i na odsłonięciach pomników... Lewis Jackson prowadzi zawsze naraz całą masę interesów, z których każdy może pochłonąć w zupełności zwykłego businessmana, a ja je znam wszystkie na pamięć... Wiem naprzykład, ile jest dynamo maszyn w fabryce elektrycznej przy Niagarze, ilu jest robotników w fabryce konserw w Chicago, ile jest morgów plantacyi w Kalifornii... Muszę znać wszystkie szczegóły budującej się żelaznej drogi, którą w przyszłym roku otworzy Jackson i ile metrów ma każdy szyb w kopalniach w Sierra Newada... Wspomniałem tu tylko o kilku interesach, a są ich całe tuziny o tysiącznych szczegółach, które muszę mieć zawsze w swej pamięci...

Maksym Duret nie słuchał. Dla Joego Smitha było to jednak obojętnem. Amerykanin wyjął z kieszeni wielkie cygaro, zapalił je i opierając się wygodnie w fotelu, mówił dalej.

— To też gdy mój pryncypał ma list do napisania, lub depeszę do wysłania, dosyć jest, gdy powie mi dwa tylko słowa... Ja już wiem, o co chodzi... Widzi więc pan, że nie za wielką mam pensyę...

Jankes strząsnął bez ceremonii na obrus popiół z cygara i nie przerywał swego opowiadania:

— Niech pan zresztą policzy... Pan Jackson posiada obecnie tysiąc sto milionów... Jeżeliby je umieścił na trzy procent, miałby trzydzieści trzy miliony dolarów... Prowadząc interesa, ma z nich piętnaście procent... Praca więc jego przynosi mu dwanaście procent, czyli sto trzydzieści dwa miliony...

Sekretarz kołysał się w fotelu i wyjaśniał dalej:

— *Well!* Przypuśćmy, że pracuje po szesnaście godzin dziennie... Praca jego dzienna warta jest więc trzysta sześćdziesiąt jeden tysięcy, czyli dwadzieścia dwa tysiące pięćset i coś jeszcze franków godzina, innemi słowy trzysta siedmdziesiąt pięć franków minuta... Niech pan teraz pomyśli, ile cennego czasu straciłby z sekretarzem, któryby nie pojmował wszystkiego odrazu, z pół słówka... Widzi pan sam, ile potrzeba minut po trzysta siedmdziesiąt pięć franków, by zebrać taką sumę... Za to com zaoszczędził u Lewisa Jacksona, odkąd mu służę mógłbym kupić cały wasz bulwar Bineau.

Joe Smith zamilkł. Prezes powstał w milczeniu od stołu i przeszedł do gabinetu. Jankes poszedł za nim.

Prawie jednocześnie służący wprowadził urzędnika Towarzystwa ubezpieczeń, który przybył zbadać okoliczności kradzieży...

Maksym Duret nie chciał nic mówić.

— Niech pan sam wszystko obejrzy — rzekł — i wybada służbę... Wypadek ten tak mną wstrząsnął, iż muszę pozostać w spokoju dla nabrania równowagi...

Potem siadł na swem zwykłem miejscu przed biurkiem i pozostawał tam w głębokiem przygnębieniu do wieczora, podczas gdy Joe Smith dla zabicia czasu palił cygaro po cygarze.

Obiad zjedli razem. Tym razem jednak Maksym Duret nie zwrócił się z żadną propozycyą do swego dozorcy i nie kazał podać ani szampana ani Lacrima Christi.

O dziewiątej godzinie przyszedł Lewis Jackson. Nie zamieniając ani jednego słowa z prezesem, przyjął sprawozdanie z dnia od Joego Smitha i zwolnił go na noc.

Maksym Duret udał się do swej sypialni razem z miliarderem. Jackson siadł na szezlongu, prezes położył się w ubraniu na łóżku. Tak przeszła noc, przez którą Lewis nie zmrużył nawet oka. Skazaniec przewracał się na wszystkie strony na łóżku, lecz nie mógł zasnąć.

O dziewiątej godzinie rano przybył na zmianę Joe Smith, poczem miliarder odjechał.

Maksym Duret był ciągle w ponurym nastroju, ale już nie tak przybity. Ubrał się i kazał zaprzęgać.

W kilka minut potem siadł do karety razem z Joem Smithem i pojechał do miasta. W domu pozostawił tylko służącego i kucharkę, mocno zaintrygowanych tą ustawiczną obecnością Jankesa.

Kareta prezesa zatrzymała się kilka razy przed różnymi bankami. Wszędzie powtarzała się jedna scena.

Maksym Duret i Joe Smith wchodzili do gabinetu dyrektorskiego i prezes oznajmił swój nagły i niespodziewany wyjazd do Australii.

Znaczny spadek — jak wyjaśniał — wymagał jego wyjazdu, a nawet może i osiedlenia się tam na stałe.

Dyrektor winszował mu i wyrażał żal, że traci takiego współpracownika. Prezes dziękował i prosił o pożegnanie w jego imieniu kolegów z zarządu. Wizyty te trwały aż do śniadania, które zjedli razem w restauracyi.

Potem zaczęła się znowu jazda, ale tym razem do banków i do osób, które winny były prezesowi różne sumy. W końcu był z pożegnaniem u swych przyjaciół. Wiadomość o wielkim spadku wszędzie wywoływała te same wyrazy zdziwienia i te same życzenia. Nędznik musiał bezustannie uśmiechać się i ściskać radośnie ręce, które się do niego wyciągały. Kilka razy brakło mu już sił do odgrywania tej komedyi.

Gdy wychodził z wspaniałego pałacu swego znajomego, któremu się wszystko udawało, opanowała go rozpacz. Byli na ulicy Tronchet. Przejeżdżał wielki omnibus samochodowy. Joe Smith zaledwie zdążył zatrzymać swego więźnia, który chciał rzucić się pod koła.

— *Hallo!* — rzekł spokojnie amerykanin. — Niech pan się nie zabija... Wszyscy będą się nad panem litowali lub też drwili... Czy nie lepiej zniknąć, wywołując ogólną zazdrość?

— Ma pan racyę — przyznał Maksym Duret i siadł do karety.

Wieczorem Joe Smith opowiedział swemu pryncypałowi, iż prezes załatwił już większość swych interesów i pożegnał się z swymi znajomymi.

— Dobrze — odrzekł obojętnie miliarder.

Noc przeszła zupełnie tak jak i poprzednia z tą tylko różnicą, iż nad ranem Maksym Duret wyczerpany z sił zasnął na krótko.

O oznaczonej porze Joe Smith zajął znowu swój posterunek, a miliarder wyszedł, przypominając tylko, iż za trzy i pół godziny upływa termin.

Prezes wypił na śniadanie filiżankę czarnej kawy i przygotował się do wyjścia. Wychodząc, zabrał z sobą małą buteleczkę, podobną do flakonika, z solami angielskiemi. Joe Smith widział to, ale nie zwrócił na to żadnej uwagi.

O dziesiątej godzinie siedli do karety i pojechali do miasta. Prezes chciał odwiedzić jeszcze jednego znajomego, u którego zapomniał być wczoraj. Siedział u niego aż do południa. Joe Smith zaczął spoglądać często na zegarek. Zbliżała się chwila, w której winien więźnia swego oddać w ręce Lewisa Jacksona.

— Ile mam jeszcze czasu? — zapytał prezes, gdy się znalazł znowu z Jankesem w karecie.

— Trzydzieści pięć minut.

— Muszę jeszcze odbyć jedną wizytę...

— Gdzie?

— Na bulwarze l'Hôpital...

— Czy to daleko stąd?

— Dosyć... Każę jednak prędko jechać...

— *Well!* Jak pan chce... Przestrzegam tylko, że za trzydzieści trzy minut, gdy upłynie naznaczony czas, wezmę pana za kołnierz, choćbyśmy byli przed tysiącem osób... Niech pan postara się abyśmy byli wtedy sami...

Prezes nie odpowiedział nic, tylko wychylił się przez okno.

— Bulwar l'Hopital, numer 12 — rzekł do stangreta. — Jedź prędko.

Kareta ruszyła szybko. Przejechali tak część Paryża.

Joe Smith od czasu do czasu spoglądał na swój zegarek.

— Jeszcze dziesięć minut — rzekł flegmatycznie, gdy przejeżdżali przez most Austerlitz.

— Już dojeżdżamy — odrzekł Maksym Duret.

Prawie jednocześnie prezes wychylił się znowu przez okno i zawołał do stangreta:

— Ulica Arnaud Lisan 37!... Jedź jak najprędzej.

Siadając, zwrócił się do Joego Smitha.

— Zapomniałem, że mam jeszcze bardzo ważny interes na ulicy Arnaud Lisan! Muszę się zrzec wizyty na bulwarze l'Hôpital!

— O! Niech pan jedzie, dokąd pan chce!... Dla mnie jest to zupełnie obojętne... Ma pan jednak tylko niecałe dziesięć minut.

Tymczasem kareta zatrzymała się. Stangret obrócił się i robił jakieś znaki.

— Co takiego? — zapytał Maksym Duret.

— Nie wiem, gdzie jest ta ulica! — odparł służący.

— Sapristi!... Ja ją znam, lecz tylko z nazwy... Jest to nowa ulica... Co robić?...

Prezes wysiadł z karety. Joe Smith uczynił to samo.

Znajdowali się przed dworcem Orleańskim. Maksym Duret wskazał na policyanta, który chodził w pobliżu.

— Może on nam wskaże tę ulicę — rzekł.

I skierował się do niego. Joe Smith czekał spokojnie. Prezes oddalił się od niego zaledwie na kilka metrów. Stał on na dużym pustym placu. Ucieczka tu była niemożliwa. Amerykanin nie słyszał rozmowy, jaką Duret prowadził z policyantem, nie wydawała mu się jednak podejrzaną.

Policyant widząc, że podchodzi do niego pan czarno ubrany z poważną i wyniosłą miną, podniósł rękę do kepi.

Prezes mówił szybko półgłosem.

— Niech pan nic po sobie nie okazuje... Niech pan nie robi żadnego ruchu... Niech pan udaje, że mi pan daje informacye... Jeżeliby się domyślił, że mówimy o nim, złoczyńca ten zaraz uciekł.

— Złoczyńca! — zdziwił się policyant.

— Tak, złodziej kieszonkowy; widziałem, jak wyciągnął portfel jednemu przechodniowi...

— Gdzie on jest?

— Niech pan spojrzy na niego tylko ukradkiem. To ten wysoki człowiek, o ceglastej wygolonej twarzy, który stoi tam o kilka kroków za mną.

— Widzę go — rzekł ajent, rzucając okiem w tamtą stronę.

— Może go pan schwytać?

— O, tak... Nie będzie to długo trwało... Niech pan tu pozostanie...

Joe Smith ze swą wygoloną twarzą, w kostyumie cokolwiek ekscentrycznym mógł wydać się łatwo podejrzliwemu jednym z tych niebezpiecznych

kosmopolitycznych złodziei, jakich spotykać można w wielkich miastach.

Policyant odrazu przedstawił sobie całą doniosłość aresztowania, jakiego ma dokonać. Przyniesie mu ono w nagrodę galony brygadyera.

Oprócz jednak galonów może on otrzymać i kilka porządnych ciosów, podobni bowiem opryszkowie są zazwyczaj dobrze uzbrojeni i nie dają się tak łatwo brać za kołnierz, w takim jednak razie przyszły brygadyer zostanie ozdobiony i medalem zasługi. Policyant uznał więc, że wszystko zapowiada się dla niego jak najlepiej.

Skierował się do amerykanina, nie patrząc na niego, by nie obudzić jego czujności, a udając, że zajęty jest podjeżdżającemi pojazdami.

Joe Smith spojrzał na zegarek i pomyślał:

— Jeszcze tylko ośm minut!... Policyant już odchodzi... A Duret stoi na miejscu jak słup... Co to może znaczyć?...

Lecz w tej samej chwili uczuł silne uderzenie. Policyant rzucił się na niego i schwycił go w ramiona.

Obydwaj mężczyźni, trzymając się wzajemnie, upadli na chodnik. W kilka sekund zgromadziła się koło nich cała masa przechodniów i Joe Smith wyrywał się już teraz z gęstego tłumu ciekawych. Od dworca biegł szybko drugi policyant, by przyjść z pomocą swemu koledze. Spieszyli również i urzędnicy kolejowi. Pasażerowie zatrzymywali się po drodze. Dorożkarze stawali na dorożkach, by lepiej przyjrzeć się walce.

Amerykanin pokryty kurzem i posiniaczony zdołał wreszcie zerwać się na nogi. Ręce jednak jego były uwięzione w silnych dłoniach policyanta i wśród przejmujących okrzyków gawiedzi został, na poły niesiony, zaprowadzony do komisaryatu stacyjnego. Tutaj zbiegowisko ustało, drzwi zamknęły się przed tłumem.

— Puśćcie mnie! — powtarzał do policyantów, którzy go trzymali. — Mylicie się!

Protesty jednak jego pozostały bez skutku. Policyanci nawet nie odpowiadali na nie.

— Puśćcie mnie! — wołał dalej amerykanin. — Ja nic nie zrobiłem!

— Cicho, bo inaczej sami uspokoimy! — groził jeden z policyantów.

— Będzie pan się tłomaczył przed komisarzem! — rzekł mu drugi.

— Przed komisarzem?... Gdzie on jest?

— Poszli go szukać...

— Ale ja nie mam czasu czekać!

Joe Smith był prawie zrozpaczony. Wyrywał się ciągle tak energicznie, iż stróże jego dali mu kilka porządnych szturchańców, by się uspokoił.

— To ten pan w czarnem ubraniu kazał mnie aresztować? — pytał. — Ależ to jest opryszek, który w ten sposób chciał się mnie pozbyć.

Wreszcie przyszedł komisarz.

Joe Smith rozpoczął na nowo swe protesty. Podniecenie jego było tak silne, iż w mowie swej mięszał ustawicznie słowa francuskie z angielskiemi.

Urzędnik z niewzruszonym spokojem zasiadł wolno przed swem biurkiem, założył na nos binokle i zaczął przypatrywać się obwinionemu.

— Co się stało? — zapytał wreszcie policyantów.

Chcieli oni odpowiedzieć, lecz Joe Smith im przerwał:

— Jestem uczciwym człowiekiem — wołał — a ten, który kazał mnie aresztować, jest bandytą! *The worst of all!* Prawdziwy zbrodniarz!

— Jeżeli jest to zbrodniarz, to powinien pan był kazać go aresztować! — zauważył komisarz.

— To było niemożliwe! *Quite* niemożliwe! Pokrzywdzeni nie chcieli go hańbić! Postanowiliśmy tylko nie tracić go z oczu... A teraz on już jest daleko! Ach! *Woe! Dam!*

I przekleństwa amerykańskie popłynęły z ust sekretarza.

— On jest daleko? — powtórzył komisarz. — Istotnie, nie widzę oskarżyciela... Gdzie on jest?

Policyanci spojrzeli na siebie i ten, który aresztował Joego Smitha, szybko wybiegł.

Wkrótce powrócił on zadyszany, czerwony, spocony. Szukał na prawo, na lewo, rozpytując się wszystkich o starszego pana w czarnem ubraniu. Wreszcie trafił na jego ślad.

— I co? — zapytał komisarz, podczas gdy Joe Smith nie przestawał kląć po amerykańsku. — Gdzież jest ten oskarżyciel?

— Siadł do południowego ekspresu, który tylko co odjechał!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Skowroński, Sambor.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Litery umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko znanego polskiego poety, niegdyś bardzo popularnego.

□ — — — — — — — — —
— □ — — — — — — — —
— — □ — — — — — — —
— — — □ — — — — — —
— — — — □ — — — — —
— — — — — □ — — — —
— — — — — — □ — — —
— — — — — — — □ — —
— — — — — — — — □ —
— — — — — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Dzikie zwierzę. 2 Starożytny król azyatycki 3 Imię żeńskie. 4. Zaleta towarzyska. 5. Znana trucizna. 6. Starożytny prześladowca żydów. 7 Publicysta polski XVI wieku. 8 Urząd honorowy na weselu. 9. Nazwa złowrogiej, niebezpiecznej kobiety. 10. Rzemieślnik.

Szarada.

Ułożyła S. Smendowa, Tyśmienica.

Pierwsze drukarzom dobrze jest znane,
Bo się znajduje w każdym dzienniku,
Drugie połącza wszystko dobrane
Jak spinka dziurki dwie w kołnierzyku.
Zaś trzecie z czwartem, jest to część ciała,
Którą ci wskaże dziecina mała.
A chcesz całości poznać osnowę
To musisz sobie nałamać głowę.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. K., Skawina.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Wilno, mus, komu, w, dość, w, tom, ok.

Gwiazda magiczna.

Ułożyła Br. Rutkowska, Piotrków.

Litery odpowiednio uporządkowane, utworzą cztery wyrazy o podanem znaczeniu.

3 1 5
a a a
a b d
e g i
7 i m n n n o r 8
r r s
t u y
z z z
6 2 4

Znaczenie wyrazów: 1—2. Prowincya w Turcyi azyatyckiej. 3—4. Imię męskie. 5—6 Wieś w powiecie Konińskim. 7—8. Posiadłość angielska w Afryce.

Łamigłówka.

Ułożył A. Rotyński, Wola Michowa.

W miejsce kresek wstawić litery, które, czytane z góry na dół, podadzą dwa wyrazy, powtarzane tysiące razy w miesiącu kwietniu.

— ora
— awa
— kra
— ara
— rya
— dam
— rom
— ada
— gła
— awa
— wan
— tan

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:

Warszawa, wint, bory, soki, sit, d, ś.

Szarada.

Ułożyła S. Smendowa, Tyśmienica.

Pierwszem zwykle witasz gości,
Drugie cicho sobie płynie,
Trzecie prawa sobie rości
Zwykle w obiednej godzinie.
Wszystko pracowało wiele
W swojego Mistrza kościele.

Kwadrat magiczny.

Ułożył A. Szuber, Zbaraż.

Z podanych liter ułożyć pięć wyrazów równobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a b b e i
k k m m n
n o r r r
r t t u u

Znaczenie wyrazów: 1 Część lampy. 2 Marszałek francuski. 3. Narzędzie rolnicze. 4. Pora dnia. 5. Rodzaj walki.

Łamigłówka.

Ułożyła S. Smendowa, Tyśmienica.

Z podanych zgłosek ułożyć szereg wyrazów:

Al, be, be, beck, do, dou, kal, li, mach, na, o, sar, ver.

Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko jenerała francuskiego, polskiego pochodzenia, poległego pod Dijon w czasie wojny francusko-niemieckiej w r 1871.

Znaczenie wyrazów: 1. Karzeł jednego z królów polskich. 2. Malarz flamandzki. 3 Autor francuski. 4 Bohaterka jednego z poematów Mickiewicza. 5. Nauczyciel jednego z królów polskich.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Listy miłosne Maryanny d'Alcoforado.** Tłumaczenie i wstęp S. Przybyszewskiego.

... w stawie
... gdy ... iskie wirtemberskiej
... światy. — Nowi radcy miejscy. — Zjazd pedagogów

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.